Nr. 17. Poznań, Niedziela 28go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Etyka dziennikarska.

Ponieważ z każdym zawodem specyalne łączą się obowiązki, istnieją też dla każdego specyalne zasady moralne obok moralnych zasad ogólnych, którym wszyscy ludzie bez różnicy powołania ulegać powinni. To, co się przebacza ludziom prywatnym, nie obarczonym odpowiedzialnością wobec opinii publicznej, staje się grzechem lub przewinieniem u człowieka, który przez swoje ogólnego znaczenia stanowisko zaciągnął wobec społeczeństwa szersze zobowiązania. Człowiek pędzący życie w zamkniętem kole swych rodzinnych i towarzyskich obowiązków, poświęcony wyłącznie pracy na chleb powszedni, może we wielu sprawach publicznych nie mieć własnego zdania a w chwili decydującej przechylać się ku zdaniu tego, który mu na razie dobitniejsze argumenta przedstawi, lub przemówi do niego osobistą sympatyą. Społeczeństwo nie traci wiele na zmianie jego przekonań, gdyż głos tego człowieka na sprawy ogólne wpływu nie wywiera. Jeśli więc tylko w zakresie swej pracy i swych osobistych obowiązków zachowuje się wzorowo, nikt mu nazwy porządnego człowieka nie odmówi. Jeżeli nawet w stosunkach prywatnych, nie chcąc drażnić sąsiada lub przyjaciela, przyzna mu racyą, choć nie podziela jego przekonań, jeśli przez uprzejmość i dla miłego spokoju zaniecha dyskusyi w kwestyi mało go obchodzącej — nikt mu z tego zarzutu uczynić nie może, póki postępowanie jego na bieg spraw publicznych nie oddziaływa.

Zupełnie jednak zmienia się postać rzeczy, jeśli np. ten sam człowiek zaszczycony zaufaniem wyborców zasiądzie na ławach prawodawczej izby. Wówczas obowiązkiem jego jest każdą sprawę omawianą zbadać, o każdej wytworzyć sobie własne, na pewnych podstawach oparte przekonanie i tego przekonania bronić, wbrew wszelkim ubocznym względom prywatnej natury. Wszelkie sympatye i antypatye, stosunki towarzyskie lub familijne winny ustąpić na plan dalszy — a jedyną miarą, linią wytyczną postępowania stać się powinien wzgląd na publiczne dobro.

To co w życiu prywatnem jest wynikiem uprzejmości towarzyskiej i taktu — w życiu publicznem staje się lekkomyślnością, odstępstwem, lub złą wiarą.

Stosunki prywatne zawierają się i utrzymują na zasadzie sympatyi osobistych, podstawą ich być mogą zalety lub towarzyskie przymioty osób, które się do siebie zbliżają, — w życiu publicznem zarówno sympatye jak i antypatye żadnej roli grać nie powinny — tylko wartość zasad i przekonań wyznawanych i głoszonych uwzględnić i brać w rachubę należy.

Ponieważ na straży spraw ogólnych stoi głównie prasa, ona to właśnie powinna się rządzić zawsze i wszędzie zasadniczemi przepisami etyki publicznej.

Dziennikarz z powołania swego zobowiązany jest głos zabierać w każdej kwestyi ogół obchodzącej. Nikt nie może wymagać od niego dokładnej w każdym kierunku znajomości rzeczy, nikt nie może go winić o popełnione w sądach i uwagach pomyłki — czego jednak od dziennikarstwa żądać mamy prawo, to dobrej wiary, sumiennego roztrząsania każdej kwestyi, objektywnego sprawozdania z przebiegu spraw ogólnych — wytrwałego, nieustraszonego i bezwzględnego **poszukiwania prawdy** i tylko prawdy zkądkolwiek zaczerpnąć ją można, czy ze strony przyjaznej i przychylnej, czy też niechętnej lub wrogiej. Tylko na takich zasadach oparta prasa może być sumienną kierowniczką opinii publicznej, streszczeniem publicznego życia narodu, wyrazem jego dążeń, uczuć i przekonań.

Czy dziennikarstwo nasze odpowiada tym wymaganiom?

Codziennie słyszymy tysiące przeciw niemu zarzutów, z tych zaś niektóre wprawdzie są nieuzasadnione, inne jednak niestety, zupełnie sprawiedliwe.

I tak niesłusznie mojem zdaniem zarzuca się prasie naszej, iż dzieli się na obozy i staje się echem walk stronniczych.

Wszędzie, gdzie tylko istnieje życie publiczne, ludzie zbliżonych przekonań grupują się w stronnictwa i stwarzają sobie organy, służące za narzędzia do propagowania własnych poglądów i idei. Dzieje się to, jak mówiłam, wszędzie, i nietylko, że społeczeństwom szkody nie przynosi, lecz przeciwnie zapewnia im niejakie korzyści. Ludzie pracujący dla publicznego dobra dążą do swego celu różnemi drogami i na różnych opierają je podstawach. Głosy odosobnione, choćby najsłuszniejsze, mało mają znaczenia i mało wywierają wpływu. Społeczne i polityczne kierunki i programy wcielić można w życie dopiero, uzyskawszy poparcie pewnej cząstki narodu, która je zaakceptuje i zbiorowemi siłami przeprowadza. Walka dwóch lub więcej odmiennych kierunków wywołuje wymianę zdań, starcie sił, wśród czego każdy z nich doskonali się, ustala, a zarazem oczyszcza z tych słabszych stron, które publicznej krytyki nie wytrzymują. Tym sposobem nawet zaczepki przeciwników bywają dla każdego stronnictwa pożądane, gdyż zmuszają je do ciągłej rewizyi i kontroli własnego programu, dają sposobność do dobitniejszego i bardziej wyczerpującego uzasadniania jego stron dodatnich, do modyfikowania lub usuwania ujemnych. Społeczeństwo zaś bez względu na wynik ostateczny walki zyskuje szansę, że jakikolwiek kierunek zwycięży, zawsze dzięki konieczności liczenia się z przeciwnikami politycznymi, pozbędzie się wszystkich swych cech najszkodliwszych i najzgubniejszych. Wszystko to jednak dzieje się pod warunkiem, że ogniwem łączącem każdy obóz będą idee i przekonania i że tylko o sprawy publiczne toczyć się będzie walka.

Jeżeli jednak łącznikiem danej partyi będą prywatne interesy, sympatye lub towarzyskie stosunki, jeżeli głosami jej organów kierować będzie wzgląd na osobistości, a nie na cele publiczne, jeżeli walka toczyć się będzie w obronie ludzi, nie spraw ogólnych — wówczas stronnictwo stanie się koteryą — a polemika bójką uliczną, której jedynym celem z każdej strony będzie wymierzanie guzów przeciwnikom, a unikanie ich dla siebie.

Niestety, przyznać musimy, że właśnie taki charakter mają przeważnie istniejące u nas stronnictwa i ich gazeciarskie walki.

Daremnie by ktoś czytając nasze dzienniki szukał w nich obrazu życia publicznego i politycznych naszych stosunków, daremnie starałby się zaczerpnąć dokładnych informacyi o rozwoju instytucyi miejscowych i ich kierunku. Czego jednak nauczyłby się dokładnie wbrew woli i zupełnie niepotrzebnie — to wszelkich miejscowych komeraży i niesnasek osobistych. Nie wiedziałby wprawdzie, co myśleć o naszej reprezentacyi politycznej, o naszych stowarzyszeniach, bankach, instytucyach narodowych lub filantropijnych, natomiast nie pozostawionoby mu najmniejszej wątpliwości co do tego, kto jest dobrze widzianym przez tę lub ową koteryą, kto kogo lubi lub znieść nie może, jakie nazwiska, korporacye lub instytucye liczyć mogą na stałe i bezwzględne poparcie w Dzienniku, Kuryerze, Orędowniku, Postępie itd. Przekonałby się dalej dowodnie, że wynikiem pochwały lub uznania w Dzienniku lub Kuryerze, będzie natychmiastowa ostra krytyka w Orędowniku lub Postępie i odwrotnie — powodów jednak, na których się uznanie lub krytyka opierają, doczytaćby się pragnął daremnie. Poznałby dokładnie ugrupowanie się partyi i ich niechęć wzajemną — lecz bezskutecznie zbadaćby pragnął ich program. Antagonizmy nie oparte zresztą na żadnych innych przyczynach, prócz osobistych niechęci, wybuchają u nas przy lada okazyi. Ujawniają się one zarówno w sprawozdaniach z zebrań publicznych lub działalności

stowarzyszeń, jak i w przeglądach literackich, recenzyach teatralnych, a nawet wiadomościach potocznych. Dowodem tego tysiączne przykłady.

Na jakiemś publicznem zebraniu wypowiada słów kilka w obojętnych lub czysto formalnych kwestyach przyjaciel Dziennika lub Kuryera np., później przemawia w sprawie ważnej osobistość tym organom niemiła, lecz mówi przekonywająco i wywiera decydujący wpływ na przebieg obrad. Nazajutrz ukazuje się w łamach danego pisma sprawozdanie, w którem czytamy, że p. X. — tj. pierwszy, miał piękną i zajmującą mowę, która wszystkich zainteresowała, a w dalszym ciągu dyskusyi zabierał także głos p. Y., tj. drugi, i nic więcej. Takie przemilczenie jest zresztą najskromniejszym objawem stronniczości; zdarzają się i jaskrawsze wykroczenia. Tak np. p. R. lub p. K. wnoszą rezolucyą, którą zebranie jednogłośnie przyjmuje. Pismo tym panom niechętne zaprzeczyć faktom nie może, nie może również walczyć przeciw jednomyślnej uchwale — czepia się zatem osobistości mówców i objaśnia czytelników, że p. R. dał dowód pychy i zarozumiałości, gdyż mówił rzeczy które wszyscy i bez niego wiedzieli, p. K. zaś jest tromtadratą, który przemawiał zupełnie niepotrzebnie — tak sobie dla przyjemności gadania o rzeczach ogólnie znanych. Nie uwzględniają panowie dziennikarze potrzeb czytelników, dla których zupełnie obojętną rzeczą są wady lub przymioty osobiste pp. R. lub K., którzy jednak mają prawo poznać i zrozumieć znaczenie rezolucyi i wartość motywów, na których ją oparto. Przypuśćmy, że każdy z tych panów jest skończonym złoczyńcą. Jeżeli jednak powiedzieli prawdę i uzyskali poparcie ogółu, doniosłość ich słów nic przez to w obec czytelników się nie zmniejsza.

Pojawia się czasem w pismach naszych głos zaczepiający lub krytykujący działalność której z naszych instytucyi publicznych, kosztem ogółu utworzonej, utrzymywanej, przeznaczonej dla jego dobra i interesującej wszystkich. Ciekawość czytelników poruszona do żywego, niejednego ogarnia niepokój, chciałby dokładnie zbadać i przekonać się, czy krytyka jest słuszną, czy kierownicy danej instytucyi, szafarze publicznego dobra zasługują na zaufanie, czy z zadania swego wywiązują się sumiennie, umiejętnie i gorliwie, a jeśli błądzą, czy błędy ich naprawić, czy daną instytucyą w porę uratować można Daremnie jednak szukają w szpaltach dzienników objaśnień i informacyi, któreby ich uspokoić i w bieg spraw najżywotniejszych wtajemniczyć mogły. Okazuje się bowiem, że ludzie, których działalność zaczepioną została, doznają opieki ze strony poważnych organów i zamiast wyjaśnień ważnych i koniecznych, wyczytujemy w pismach uwagi, że p. X. lub Y., który się zaczepki dopuścił, postąpił niewłaściwie, nietaktownie, jest złym kolegą lub co gorsza wichrzycielem, burzycielem porządku społecznego itp. Przecież dla ogółu społeczeństwa jest rzeczą całkiem obojętną czem jest p. X. lub Y. — a choćby on moralnie stał wiele niżej niż ci panowie, których zaczepił, to zasadniczą w danym wypadku kwestyą nie są przymioty osobiste różnych panów, lecz bieg spraw publicznych, o których czytelnicy mają prawo być objaśniani, a prasa ma święty obowiązek ścisłych, wiernych i bezstronnych objaśnień udzielać.

Prasa dla większości społeczeństwa stanowi jedyne źródło znajomości spraw publicznych i jedyną drogę do wywierania nad niemi kontroli. Kontrola zaś taka jest konieczną, jest jedynym środkiem do uchronienia życia publicznego od zastoju, martwoty i zgnilizny. Ludzie stojący na czele narodowych i publicznych instytucyi nie powinni być samowładnymi panami, kacykami rządzącymi wedle kaprysu w powierzonym sobie zakresie, oni też nie powinni stanowić tajnego związku, działającego w ścisłem porozumieniu pod osłoną grobowego, zaprzysiężonego milczenia. Są oni po prostu urzędnikami ustanowionymi przez ogół, podlegającymi jego władzy i kontroli, odpowiedzialnymi przed nim za każdy czyn, każde przewinienie i każdą pomyłkę. U nas zaczepienie jakiejkolwiek publicznej instytucyi uważanem bywa za zbrodnię przeciw solidarności narodowej — za rodzaj zdrady stanu lub buntu. Tymczasem jest ono w rzeczy samej obowiązkiem obywatelskim ludzi prywatnych jak obowiązkiem ludzi publicznych, zajmujących odpowiedzialne stanowiska, jest usprawiedliwienie się z każdego zarzutu i wyjaśnienie każdego wątpliwego punktu swej działalności.

Ileż razy stowarzyszenia nasze i instytucye w sprawozdaniach dorocznych skarżą się na obojętność i brak poparcia ze strony społeczeństwa. Skargi to w przeważnej części niesłuszne. Gdyby nasi wielcy mężowie dopuszczali do głosu ludzi, nie mających na wielkość patentu, gdyby nasze dzienniki otwierały wstęp krytyce przedmiotowej i nie piętnowały potępieniem każdego głosu śmiałej lub samodzielnej opozycyi, gdyby nie zabijały milczeniem lub pogardą każdego publicznego wystąpienia, które powagom miejscowym do smaku nie przypada — wówczas i ogół interesowałby się żywiej sprawami, w których czynniejszy mógłby brać udział. Zdawaćby się mogło, że u nas obowiązkiem obywatelskim ludzi prywatnych jest w każdym wypadku: płacić, milczeć i słuchać. Takiem przynajmniej zdaje się być przekonanie ludzi u steru stojących. Nic dziwnego, że od takiej roli każdy się najchętniej uchyla, czując dobrze, że każdy obowiązek powinien być z pewnemi prawami połączony, że nieustanne sięganie do kieszeni nie jest jedyną rolą myślącego obywatela, że jego świętą powinnością i niezaprzeczonem prawem jest dozór nad tem, jakie koleje przechodzi jego ciężko zapracowane grosiwo i jaki realny, pozytywny pożytek społeczeństwu przynosi. Jest również prawem i obowiązkiem obywatela samodzielnego i myślącego kontrola nad tymi, którym obronę swych interesów narodowych powierza. Powinien on żądać i wymagać, aby się oni sumiennie i gorliwie wywiązywali ze swego zadania, aby byli głosem ogólnych potrzeb, dążeń — wyrazem uczuć, przekonań, ideałów swego narodu.

Ten konieczny, nieodzowny związek między społeczeństwem a jego mandataryuszami, między ludźmi prywatnymi a ludźmi, którym stanowiska odpowiedzialne powierzono, utrzymywać się może tylko za pośrednictwem prasy, a u nas z winy prasy nie istnieje wcale. Przez swą koteryjność właśnie prasa nasza nie tylko nie nie czyni dla objaśniania opinii publicznej, prostowania jej i informowania, lecz stale, świadomie czy nieświadomie fałszuje ją, krępuje i trzyma w mgle wątpliwości — w sennym letargu. Poszukiwanie prawdy, które jako kardynalną zasadę etyki dziennikarskiej zaznaczyliśmy na wstępie — dla naszych organów jest sprawą podrzędną, o którą się nie troszczą. Elastyczność i giętkość dziennikarskiego sumienia staje się nieraz tak bezprzykładną, że niejedno pismo w przeciągu 24 godzin zmienia zapatrywania i poglądy na życzenie osób interesowanych i wpływowych. Czytelnicy zaskoczeni nagłą zmianą scenery — sami nie wiedzą co myśleć o danej kwestyi, a w końcu zniechęcają się do myślenia o niej wogóle, pozostawiając swym organom swobodę przewracania kota w worku ile razy uczuwają tego potrzebę.

Dzienniki pracują u nas skutecznie nad wytworzeniem najabsolutniejszej apatyi, bierności i bezmyślności społeczeństwa, które im wprawdzie często nie dowierza, lecz nie mając dróg żadnych do wyświetlenia prawdy, przestaje jej szukać i do niej dążyć, — a w końcu zatraca zdolność do samodzielnego myślenia nie mogąc jej w żadnym wypadku spożytkować i ujawnić. Na dziennikarstwo też w przeważnej części spada u nas wina za ogólną ciemnotę i zastój, które życie umysłowe naszej dzielnicy cofnęły najmniej o pół wieku poza cywilizacyjny i duchowy rozwój europejskich społeczeństw.

I. Moszczeńska.

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

KAROL.

Panie Leski! proszę o zwłokę, nie o darowiznę.

LESKI.

Ależ ja, kochany hrabio, mam także zobowiązania, z których uiścić się muszę. Na karku moim termin rewersowy i płatne sumy hipoteczne, a jak sam uznasz, kredyt się psuje.

KAROL.

Więc nie wiem, co począć... jestem bez wyjścia... nie mogę zapłacić. Jeżeli pan nie zwolnisz mnie ze słowa, nie pozostaje mi nic innego... *(wzrusza ramionami)*.

LESKI.

O! bez dramatów. Skoro hrabia nie może pod żadnym warunkiem zapłacić, w takim razie z konieczności muszę poczekać, aż po latach chudych tłuste nastąpią.

KAROL.

Panie Leski! Słowa i ton pański są krwawą obrazą...

LESKI *(przerywając)*.

O! panie hrabio...

KAROL.

Ale nie mogąc uiścić się z długu, nie mam nawet prawa upomnieć się. — więc milczę.

LESKI.

Nie unoś się hrabio!

KAROL.

Powiem krótko: Proszę o 6 miesięcy zwłoki.

LESKI.

Służę panu.

KAROL.

Dziękuję. *(kłania się i wychodzi drzwiami frontowemi.)*

LESKI *(spogląda za odchodzącym z uśmiechem)*.

Ta chluba narodu trzepoce się jak motyl na szpilce.

(Z lewej strony wchodzi Melanja, Warecki, Ruszczewski, Ostrzyński, Modliński i grono gości. Panie okryte szalami, panowie w paletotach.)

Scena IX.

(Leski, Melanja, Warecki, Ruszczewski, Modliński i grono gości.)

MELANJA.

Panów ostrzegam przed syrenami, a paniom grożą delfiny.

LESKI.

Królewskiej rybie nie oprze się żadna syrena.

MELANJA.

Ale rekinów się lęka.

(Śmiech ogólny.)

OSTRZYŃSKI.

Brawo, brawo!

MELANJA.

Naprzód więc dziatwo Neptuna!

PAN HENRYK.

A panna Marta nie popłynie z nami? gdzie jej znaleźć nie mogę.

WARECKI.

Córka moja zasłabła trochę i obawia się chłodu wieczornego.

OSTRZYŃSKI.

Płaczcie wioślarze!

MELANJA.

To zwykła migrena, która minie niebawem. Marta odpocznie godzinkę i przy powrocie z regaty uwieńczy zwycięzcę. A teraz do łodzi! Wybiegam naprzód, by rozporządzić spaleniem ogni bengalskich, a wuj poprowadzi wioślarzy na pole bitwy.

LESKI.

Salamis przy fajerwerkach.

(Wszyscy wychodzą drzwiami frontowemi prócz Ostrzyńskiego i Ruszczewskiego.)

POLITYKA.

John Murray u Bismarka.

(Eastern Herald Nr. 3965.)

Znałem Bismarka dawno, kiedy jeszcze był niczem, a właściwie był już posłem do Rzeszy. Poznaliśmy się w Frankfurcie, zbliżyli się i, jak to zwykle bywa na świecie, rozstaliśmy się na bardzo długo. Od owej chwili, czytałem tylko pilnie to wszystko, co pisano o wielkim prusaku, o żelaznym kanclerzu, o budowniczym Niemiec.

Teraz, kiedy po pięćdziesięciu blisko latach znowu zawitałem do Europy, — trafiłem na chwilę uroczystości Bismarckowskich. Postanowiłem być u niego i byłem. To co słyszałem — opowiadam.

Oddałem oddźwiernemu kartę moją i czekałem, rozmyślając nad tem: czy mię przyjmie, czy nie?

Ku wielkiemu zdziwieniu zaproszono mię natychmiast prawie do gabinetu księcia. Ledwie służący drzwi przedemną otworzył i na progu stanąłem, ujrzałem jak od biurka podniosła się olbrzymia postać ex-kanclerza. Był ubrany w mundur wojskowy, zapięty na wszystkie guziki. Jednym rzutem oka objąłem całą jego postać. Wyglądał jak dąb rozłożysty. Widać było, że w tym kadłubie, potężnym i wielkim, jak beczka od piwa, i rozrosłem jak cielsko hipopotama, siedzi niespożyta siła fizyczna. Wielka łysa głowa, krzaczyste brwi, wąsy jak u suma, — szare, przenikliwe, badawcze, z odcieniem złości błyskające oczy — wszystko u niego było niezwykłe. Powstawszy, oparł się obiema rękoma o biurko i spojrzenie we mnie utopił.

— John Murray? — zapytał.

— Tak jest, Excellencyo.

Bismark fotel raptownie odsunął, tak, że zdało mi się, jakby się dom walił, i ku mnie rękę wyciągnął.

— Jakże rad jestem... przypominasz mi pan piękne chwile naszej młodości.

— Dawne czasy, Excellencyo.

— Dawne... — odrzekł westchnąwszy.

Przyprowadził mię do fotelu, posadził i sam obok mnie usiadł.

— Pan podróżujesz zapewne, jak niegdyś?

— Podróżuję, Excellencyo... Czułem się w obowiązku przypomnieć się Waszej Excellencyi.

Nagle ujrzałem, że na ustach jego przesunął się uśmiech.

— Pamiętasz pan nasze rozmowy? — zapytał.

— O, pamiętam.

— Niemcy są złączone... — rzekł z dumą, jakby pragnął przypomnieć mi treść rozmów i dyskusyi z przed wielu laty.

— Więcej nawet — odpowiedziałem, — bo zdołałeś Wasza Excellencya do państwa zjednoczonego przykuć dużo Słowian... tj. rozszerzyć niemieckość.

Odpowiedź moja zastanowiła księcia.

— Trudna rada... — rzekł stanowczo — dla nich jedno tylko pozostaje: Stać się Niemcami lub Moskalami jak najrychlej.

— Wasza Excellencya o Polakach myślisz?

— Tak jest.

Nagle twarz jego przybrała inny wyraz — jakiś lisi, przebiegły; siwe oczki uśmiechały się złośliwie.

— Pan może masz zamiar ogłosić interwiew ze mną? — zapytał.

— O, nie! — odpowiedziałem. Miałem na myśli powitać tylko Waszą Excellencyą jako dawnego znajomego.

— Tem lepiej... tem lepiej... bo możemy mówić otwarcie.

Widocznie sprawiło mu to pewną ulgę. Wyciągnął rękę, pudełko z cygarami wziął i do mnie zbliżył z uprzejmem pochyleniem głowy.

— Excellencyi nie szkodzi tytoń?

— Ja palę namiętnie... ale wolę fajkę.

Zadzwonił na służącego, który mu fajkę na długim cybuchu nałożył i podał. Książę palić począł z pewnem zadowoleniem. Wśród kłębów dymu zagrzmiał głos jego.

— Interwiewy zapowiedziane nużą mnie — rzekł. Muszę ciągle pilnować się, ażeby jak najlepiej myśli moje ukryć.

— Wdzięczny jestem za zaufanie, jakiem mnie W. E. obdarza...

— Pan nie bawisz się w politykę i nie robisz polityki... — prawda?

— O, nie.

— Dla tego też z panem mogę mówić otwarcie, jak z dawnym przyjacielem.

— Dziękuję W. Ks. M. Ja też niczem innem nie jestem, jak tylko ciekawym człowiekiem. Przyznać się muszę, że mię interesują bieżące sprawy w wysokim stopniu... Naprzykład teraz — o Polakach znowu cała Europa mówi....

— O Polakach! — wykrzyknął Bismarck.

Zastanowił mnie ton wykrzyknika, pełen głębokiego lekceważenia.

— Czy W. E. przypuszcza, że oni nie mają przyszłości przed sobą?

— Stanowczo nie twierdzę... — ale — to naród bardzo miękki i bardzo lekkomyślny — rzekł po chwili.

— Cóż to może mieć wspólnego z politycznem istnieniem?

— Ma — bardzo wiele. W tem są ich wady i zalety. Zalety — towarzyskie, wady — publiczne.

Przyznam się, że nie byłem w stanie zrozumieć tych zarzutów. Przedstawiały mi się one jako synteza myśli Bismarcka o Polakach. Wolałbym analizę. Spostrzegłem, że książę na kieł wziął słowa moje, a znałem go z tej strony, że jeżeli coś ma na wątróbce, to wygadać musi. Milczałem więc dyskretnie — i nie pomyliłem się. Po chwili milczenia książę znowu głos zabrał.

— To dziwny naród... tworzył niegdyś jedno z największych państw Europy, a nie zdołał dotychczas wyrobić w sobie godności, dumy narodowej. Dopóki będzie tego pozbawiony — nie ma dla niego przyszłości.

— Dla czego? — spytałem zdziwiony.

— Bo go każdy zwycięży i okiełzna; albo grzecznością i pochlebstwem, albo siłą i knutem.

Dziwnie mi się zrobiło od tych słów, bo zdało mi się, że zrozumiałem politykę Prus i Moskwy. Wszyscy dążą do jednego celu — do zabicia tego narodu, — tylko różnemi drogami. — Zaiste, pomyślałem sobie — polityka godna Machiawella. Spodlić i unicestwić, albo zgnębić i unicestwić — oto są dwa bieguny tej polityki. Opanowała mnie gorąca żądza sprawdzenia, o ile rzeczywiście domysły moje mogą być słuszne.

Milczałem. Bismarck rzucił na mnie bystre spojrzenie i odgadnął powody mego milczenia.

— Nie wierzysz pan, że tak jest?

— Trudno wierzyć, Excellencyo, szczególnie, gdy się tyle słyszy ustawicznie o dumie narodowej Polaków.

— Maleńkie nieporozumienie — zauważył złośliwie Bismarck — to, co nazywają dumą, jest tylko pychą ludzi próżnych. Duma nie ustępuje — pycha jest tchórzem podszytą.

Nikt o indyku, który chodzi nadęty po dziedzińcu nie mówi, że jest dumnym; podnieś pan tylko kij do góry — wnet przekonasz się, co ta duma warta. Taką jest duma Polaków teraźniejszych. Oni są próżni po prostu.

— Jakże to sobie wytłomaczyć, że są tak dzielnymi mężami stanu w Austryi?

— Próżność z rozumem chodzi często w parze. Ale dumny człowiek będzie pracować dla własnego narodu lub zginie marnie, gdy nie napotka uczciwych warunków dla

---

Scena X.

Ostrzyński i Ruszczewski.

OSTRZYŃSKI.

Nam starym tam nie spieszno. Nie mam pociągu do Kneippowania.

RUSZCZEWSKI.

Lepiej, że się zmoczą, niż w karty resztki przegrają.

OSTRZYŃSKI.

Oj! prawda. Leski się obłowił, a Karol płacze.

RUSZCZEWSKI.

Co? znowu przegrał?

OSTRZYŃSKI.

Grubo, mości dobrodzieju; tam padło kilkanaście tysięcy.

RUSZRZEWSKI.

Niepoprawny! (*ogląda się trwożnie*). Nie chcę nic mówić, ale to źle się skończy.

OSTRZYŃSKI-

Jakto?

RUSZCZEWSKI.

Mówię Panu: źle! Ze wsi wyleci. Giełda mu poderżnęła gardło, a Leski dorżnął do reszty.

OSTRZYŃSKI.

To niepodobno! Klucz Karłowicki jest perłą całego powiatu.... Zresztą stary ma kapitały.

RUSZCZEWSKI.

Pi.... pi... stary....

OSTRZYŃSKI.

Wybory za pasem, a bez pieniędzy — klapa. Trzeba maślić, agitować, bibki wyprawiać, wspierać instytucye narodowe... tak, tak; darmo nic nie ma na świecie, a kto smaruje, ten jedzie.

RUSZCZEWSKI.

To źle, bardzo źle, ale będzie jeszcze gorzej. Czas trumnę stalować.

OSTRZYŃSKI.

No! no! ten pesymizm w pańskich ustach dziwnie się słyszy. Przecież u Wareckich dobrze, jak u Pana Boga za piecem.

RUSZCZEWSKI.

Dobrze?.., oczywiście! (*ogląda się* ja przecież nic nie powiedziałem.

OSTRZYŃSKI.

A sukcesyjko po zmarłym braciszku też pewnie skapnie?

RUSZCZEWSKI.

Golizna, panie, golizna.

OSTRZYŃSKI.

Ej, nie wierzę. Na stare lata kupi się wioszczynę i będzie się panem, całą gębą panem. Oblejemy jeszcze nowe ognisko.., perełki, hungaricum, to lubię.

RUSZCZEWSKI.

Oj! oblejemy ognisko, ale nie moje. Co raz przepadnie, to się już nie wróci. Smutek i utrapienie, — te wracają, ale szczęście, nie, nie, panie redaktorze... No! nie rozczulajmy się. Chodźmy za młodymi.

OSTRZYNSKI.

Chodźmy! a trzeba fagasowi powiedzieć, żeby nam tam kapkę przyniósł. Tak w chłodzie, nad wodą to się gładko pije. (*Zwracają się ku drzwiom.*)

RUSZCZEWSKI (*we drzwiach.*)

Coś się na burzę zanosi.

OSTRZYŃSKI.

Prawda. Niebo zachmurzone! Błyska się. Zerwie się wicher i potopią się jeszcze.

RUSZCZEWSKI.

Chodźmy! zatrąbimy do odwrotu (*wychodzą drzwiami frontowemi, po chwili wchodzi ostrożnie przez drzwi na lewo Marta.*)

(Ciąg dalszy nastąpi).

pracy; próżny będzie z czystem sumieniem pracować dla innych w tem przekonaniu, że dla swoich pracuje. Możnaby takich ludzi porównać do psów, które, wesoło poszczekując, ciągną na targ cudze wózki z mlekiem lub mięsem.

— Wasza Excellencya bardzo surowy wyrok na Polaków wydajesz.

Bismarck nie oponował, tylko z pewną siłą i zacięciem w głosie odrzekł:

— Znam ich.

Zamyślił się, brwi nasunął i począł namiętnie fajkę ciągnąć. Miałem takie wrażenie, że myśli skupia i mówić wnet zacznie. Jakoż tak się stało.

— Polskich mężów stanu porównałbym do niewolników i wyzwoleńców w epoce upadającego Rzymu. Byli pośród nich genialni ludzie — pisarze, poeci, doradzcy, ale im brakło dumy i siły wolnych ludzi, lub też ludzi, miłujących wolność. Im wystarczało bogactwo, używanie, łaska pańska — lgnęli więc do stóp Kaliguli, Tyberyusza, Nerona i ślady ich obuwia całowali. Czy Polacy inaczej robią? Gwałtem, przemocą, przez szeregi takich samych, jak oni niewolników, cisną się do pocałowania tej ręki, która ich policzkuje, i mówią, że to robią dla dobra narodu... chociaż robią dla tego tylko, ażeby mogli do końca życia przy pełnej misie siedzieć — oni i synowie ich. Podnoszą hasła lojalnej, cichej pracy i w imię tego hasła liżą rękę pańską ci wszyscy, których praca polega na spokojnem spożywaniu pracy innych — ubogich, głodnych, ciemnych. Oni w obronie misy, zwłaszcza pełnej, staną zawsze, — w obronie praw — nigdy.

— A przecież — przerwałem Bismarckowi — powstania polskie są próbą obrony praw.

Przeczenie moje zdawało się jeszcze więcej podniecać go.

— Tak, tak — rzekł, — ale potem znalazło się zawsze grono spokojnych obywateli, ktorzy te usiłowania oplwali, a z dowodzeń ich i napaści łatwo dała się wyciągnąć nauka moralna: „Pocóż gonić za marą wolności i w niewoli może być wygodnie“.

Bismarck znowu namiętnie palić począł.

To naród pełen sprzeczności — ciągnął dalej — proszę tylko uważać: Arcybiskup Popiel gospodaruje jak urzędnik moskiewski, a naród pokornie chyli przed nim czoło. Dawniej, według bajecznej historyi Polaków, takich Popiélów przynajmniej myszy jadły, teraz — będą tuczyć się spokojnie, byleby spokojnie, bo niepokój trawieniu szkodzi. Panowie Górscy, Lubomirscy et tutti quanti, ledwie car umarł, dopraszają się jak o łaskę o pozwolenie pocałowania tej ręki, która ich biła, w imieniu narodu. Koło polskie w Wiedniu z grzeczności i z polityki słucha detyrambów jakiegoś Czecha na cześć tego, który nawet prawa ludzkie polakom odebrał — nic dziwnego, skoro na czele reprezentacyi kraju, stoją tacy jak Zaleski. Wszędzie naród na czoło swojej reprezentacyi wysuwa najlepszych ludzi, oni — najpokorniejszych. Jakąż przyszłość taki naród mieć może przed sobą? Żadnej! Dla jawnych, płaszczących się niewolników można mieć litość, ale szacunku — nigdy.

— Wasza Książęca Mość zdaje się masz w tej chwili na myśli Polaków tylko z Galicyi i reprezentacyę ich we Wiedniu?

— Wszędzie oni jednakowi. To rasa słaba, miękka, podatna jak ośrodek chleba. Można nim głodnego nasycić, ale nikt chleba do budowy gmachu nie używa. I w Prusiech dzieje się to samo. Próżność rozpiera ich wszędzie i rozsadzi z czasem jak młoda koniczyna brzuchy wołowe. Trzeba im tylko takiej koniczyny jak najwięcej dodawać. Rosya niegdyś miała największych przyjaciół, którzy się nazywali Targowiczanami; oni trzy czwarte Polski oddali w ręce Moskwie — za nadzieję, dzięki tylko temu, że Moskwa potrafiła ich próżność wyzyskać. Teraz utworzyła się w Austryi i u nas pewna odmiana dawnych Targowiczan, których nazwano Stańczykami. Oni to, dzięki godłu hyperlojalnej pracy i zgody z istniejącym porządkiem rzeczy d z i ś — oddają bez zastrzeżeń p r z y s z ł o ś ć swego narodu w nasze ręce. Polakom można odebrać wolność, prawo, język w sądzie i urzędzie, zgnieść ich literaturę, kazać się uczyć nie w rodzinnym, lecz obcym języku i pracę umysłu i ducha nie własnemu narodowi, lecz do cudzej składać skarbnicy — wszystko to przyjmą słowami „jakoś to będzie“, pocieszając się garścią tytułów i karmelkowych koncesyi.

W słowach Bismarcka przebijała zjadliwa ironia.

— W Rosyi p o t r z e b n i Górscy, Lubomirscy, Czertwertyńscy, Radziwiłłowie, Woronieccy, Baranowscy, w Austryi — Tarnowscy, Potoccy, u nas — Kościelscy. Im się zdaje, że są przewodnikami narodu, mężami zaufania cesarza, wielkimi politykami, a oni są manekinami.

— Wasza Excellencya w tak czarnych kolorach przedstawia Polaków, że lituję się nad nimi. Gdyby tak było w istocie, byłby to jeden z najnieszczęśliwszych narodów na kuli ziemskiej.

— Tak jest. Oni idą do zguby, bo ich mężowie stanu i reprezentanci, uprawiają taką politykę, jaką przed tysiącem lat ich przodkowie uprawiali.

— Jaką? — spytałem mimowoli.

Bismark nic nie odpowiedział, tylko porwał się gwałtownie z fotelu i do drugiego pokoju wybiegł. Szeroko otwarte drzwi pozwoliły mi widzieć bibliotekę księcia. Książę zbliżył się do półki, ujął pewną ręką jakąś książkę i do mnie wrócił. Usiadł w milczeniu i począł kartki przewracać.

— Zaraz pana przekonam o tem — rzekł.

Skłoniłem głowę na znak zgody.

Równocześnie będzie to odpowiedź tym, którzy utrzymują, jak Delbrük, że komisya kolonizacyjna nie przynosi żadnego poważnego rezultatu. Oni pragnęliby — dodał złośliwie — ażeby wielkie dzieło dokonało się tak rychło jak sprzedaż cygara, z rąk do rąk, w jednej chwili.

Bardzo mię Wasza Książęca Mość zaciekawiasz.

Spojrzałem na okładkę książki — była o „Kronika Helmolda“.

Bismarck czytać począł.

„Morze to (Baltyckie) nazywa się barbaryzyńskiem albo scytyjskiem, dla tego, że kraje barbarzyńców oblewa. Koło tego morza mieszka wiele narodów, z tych Duńczycy i Szwedzi, których Normanami nazywamy, zamieszkują brzeg p ó ł n o c n y, brzeg zaś p o ł u d n i o w y z a m i e s z k u j ą l u d y s ł o w i a ń s k i e.

Tu na karcie rękę swoją olbrzymią położył, wpatrzył się we mnie i zapytał ostro:

— Gdzież ci Słowianie teraz?

Nie mogłem mu dać żadnej odpowiedzi. Książę ciągnął dalej:

— Nietylko tworzyli oni całą dyecezyę Hammenburgską, lecz sięgali za Elbę, do najdalszego zakątka Saksonii, zwanego niegdyś Nordelbingią — gdzie są tam Słowianie?

Książę karty „Kroniki“ przewracać począł.

— Teraz powiem panu dla czego ich tam nie ma. Kiedy Słowianie, niezadowoleni z książąt swoich, będących w usługach Niemców, zabili Godszalka, syn jego tak przemawiał do księcia Magnusa: „Wiadomo jest Twojej Jasności, o największy z ludzi, jak wiernie zawsze ojciec mój Godszalk poruczone rządy w kraju słowiańskim na cześć Boga i dziada twego sprawował. Ja też, ojca mego naśladując, pokornie, z całą wiernością i oddaniem się poleceniom książąt byłem posłusznym...“

Bismarck książkę odsunął i na mnie patrzył.

— Gdzie ci Słowianie? zapytał znowu. Dokąd ich pokora i giętkość zaprowadziły? Gdzie owi Wagrowie, Obotryci, Kiszanie? Nie ma ich — dla czego? Bo przedstawiciele ich z wolnych książąt zeszli do roli sług książąt niemieckich; bo kłócąc się i walcząc ze sobą

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.*)

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

II.

Dobry koń zruszył z miejsca lekko poskrzypujące sanie i pomknął żwawo naprzód po utartej drodze.

— A tyś tu poco? Nikito, daj mi bata na niego! — zawołał Brechunow, widocznie zadowolony z synka, który umieścił się z tyłu na płozach. — Już ja ci wsypię! Wracaj do matki, smarkaczu!

Chłopak zeskoczył na drogę. Gniadosz przyspieszył biegu, a potem puścił się kłusa.

Kresty, przysiołek, w którym Brechunow miał swoją posiadłość, liczyły sześciu gospodarzy i nasi podróżni, minąwszy zabudowania ostatniego z nich, kowala, przekonali się, że wiatr był daleko silniejszy, niż im się zdawało. Drogi nie można było prawie dojrzeć. Ślad, jaki pozostawiały za sobą, sam zacierał się niezwłocznie i gościniec tem się tylko odznaczał, że był wyższy od reszty gruntu. Tumany śniegu kręciły się w polu, a linja, w której się niebo zlewa z ziemią, znikła całkowicie. Sąsiedni las, zwykle wyraźny dla oka, teraz zaledwie czerniał z poza śnieżnej przesłony. Wiatr dął z lewej strony i zwiewając uporczywie na jeden bok grzywę z wygiętej, pełnej szyji gniadosza odgarniał nadto w stronę ogon jego w węzeł związany i przyklejał do twarzy i nosa Nikicie, siedzącemu od strony wiatru, długi kołnierz kaftana.

— Śnieg nie pozwala dziś gniadoszowi rozpędzić się należycie — zauważył Brechunow, dumny ze swego konia — ale kiedyś gdym jechał do Paszutina, w pół godziny mię tam zawiózł.

— Co mówicie?

— Do Paszutina, mówię, w pół godziny mię zawiózł.

— Dobry konik, ani słowa — przytwierdził Nikita. Umilkli obaj, ale Brechunow okazywał widoczną chęć do dalszej rozmowy.

No i jakże tam, musiałeś, jak sądzę, upominać i swoją gospodynię, aby bednarzowi nie dawała zbyt wiele wódki? — mówił po chwili, będąc tak głęboko przekonany, że rozmowa z tak niepospolitym i mądrym, jak on, człowiekiem powinna pochlebiać Nikicie i czując tak szczerze zadowolenie z własnego dowcipu, że na myśl mu nawet nie przychodziło, aby to, co mówił, mogło dotknąć parobka.

Nikita znowu nie zrozumiał, o co chodzi, bo prąd wiatru unosił dźwięki głosu i Brechunow powtórzył głośno i wyraźnie swój żart.

— Bóg z nimi, gospodarzu, nie wtrącam się — jak wiecie — do ich spraw. Aby tylko Marta syna nie krzywdziła, a po za tem niech sobie robi, co jej się podoba.

— To dobrze — zauważył Brechunow. A konia masz zamiar kupić na wiosnę? — zapytał, rozpoczynając z nowej beczki rozmowę.

— Najniezawodniej — odparła Nikita, odwijając kołnierz i pochylając się w stronę gospodarza.

Rozmowa zaczynała być dlań zajmującą i dlatego chciał teraz słyszeć każde jej słowo.

— Syn dorasta, powinien więc sam brać się do órki, dotąd najmowaliśmy obcych — dodał w formie wyjaśnienia.

— Wiesz co, kup mego srokacza, drogo cenić nie będę! — zawołał na całe gardło. Brechunow, rozgrzany trunkiem i dla tego tem chętniej wracający do sprawy, która była ulubionem jego zajęciem i pochłaniała całą jego istotę — do handlu.

— A gdybyście mi dali tak z piętnaście rubli, tobym sobie kupił szkapinę na końskim jarmarku — odparł Nikita. Wiedział on doskonale, że koń, którego mu stręczył gospodarz, wart był najwyżej ośm rubli, że jednak Brechunow potrąci mu za niego dwadzieścia pięć i że w takim razie przez pół roku nie będzie pobierał ani grosza pensyi.

— Wyśmienity koń. Życzę ci tak szczerze, jak samemu sobie. Na sumienie! Brechu-

wzywali do robienia zgody tego, który wyzyskiwał niezgodę; bo zbyt często schylali głowę, a schylonych biją tylko. Pokora jest dobrym środkiem do zbawienia duszy, ale państwa i narodu nie zbawiła jeszcze nigdy.

Wysłuchawszy tego uważnie, spytałem:

— Niech mi Wasza Ekscellencya wytłomaczy w jakim to związku stać może z kolonizacyą?

— W bardzo prostym. Moglibyśmy się zupełnie bez przymusowej kolonizacyi obyć, bo Polacy, odziedziczywszy po przodkach swoich wady narodowe, dopomagają nam do niszczenia samych siebie, idąc na rękę polityce, przeciwko nim skierowanej. Wobec jednak mogących zajść wypadków nieprzewidzianych, spieszyć się należy z nabyciem u Polaków ziemi; tam gdzie nie można odebrać, — kupić trzeba. Co to znaczy wydać 14 milionów marek w ciągu ośmiu lat wobec tego, że za sto lat nie będzie Polaków w Prusiech?!

— Wasza Ekscellencya — rzekłem, o ile mogłem, najspokojniej — nie bierzesz, zdaje się, w rachubę tego, że ta warstwa społeczna, która dotyczas ster polskich interesów dzierżyła, schodzi z pola; że przybywają coraz liczniej nowe zastępy z ludu, mieszczaństwa, intelligencyi, którzy na politykę „zgody z losem“ nie godzą się, walczą z nią i z czasem przyjść mogą do władzy.

Bismarck w zamyśleniu ciągnął dym z fajki i wąsami ruszał, a potem zwrócony do mnie, rzekł spokojnie:

— Mój kochany panie John Murray, państwo pruskie pracuje usilnie nad tem, ażeby z chwilą, kiedy dziś przodująca warstwa społeczna polska z pola ustąpi, pozostało Polaków tyle tylko ile jest Serbów w Łużycach.

Zamilkł i badał wrażenie, jakie na mnie mowa jego zrobiła

Po chwili, głęboko wzruszony, pożegnałem wielkiego Prusaka. Wracałem do domu powoli, zamyślony nad tą polityką, którą się prowadzi w celu zniszczenia, zubożenia i spodlenia całego narodu. Czyż na to wszystkie wysiłki cywilizacyjne służyć mają, ażeby silne państwa i narody zjadać mogły słabe jak dzikie zwierzęta? Na to istnieć mają władza, siła, nauka, sztuka, wszystko, co ludzkość zdobywała w trudzie i znoju, ażeby jedni przerabiali drugich na niewolników i prowadzili do spodlenia?

O, wielka cywilizacyo europejska, jakżeś ty mała, jak mała!

Przełożył z angielskiego

Fr. Rawita.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Pod tytułem „Orgje antipolskie na Warmii“ donosi „G a z e t a T o r u ń s k a“ (Nr. 92):

„W Prusiech Zach. i w Poznańskiem wielbiciele ks. Bismarka zaaranżowali spółkę KHT., w której na wielką skalę uprawiają hecę antipolską. Na Warmię sławetna społka dotąd nie dotarła, ale wyręcza ją tam skutecznie spółka utworzona na zabicie „Gazety Olsztyńskiej“ przez antipolskie pisemko w języku polskim p. t. „Warmiak“.

Patronowie papierowego „Warmiaka“, których jest podobno nie wiele więcej nad pół tuzina, to święci osobliwego nabożeństwa. Kiedy nawet Papież tylko w rzeczach wiary i obyczaju, orzekając „ex cathedra“, jest nieomylnym, to tym „mędrcom“ zdaje się, że ich zdanie wszyscy podzielać obowiązani. Wyrobili oni sobie też jakąś warmińską ojczyznę, którą odgrodzićby chcieli od innych ziem polskich chińskim murem. Każdego Polaka z innych stron, który się poważy postawić nogę na ziemi warmińskiej i zachować własne zdanie, choćby to był ksiądz katolicki, uważają za intruza i zwalczają wszelką mniej lub więcej godziwą bronią. Rozpościeranie się Niemców, choćby przybyli wprost z Kamerunu, podobno wcale gwardyi papierowego „Warmiaka“ nie niepokoi — bo niemieccy przybysze cieszą się opieką rządu, a na łasce tego zbawcom warmińskiej ojczyzny oczywiście wielce zależy, gdyż łaska rządu może się objawić w formie brzęczącej lub szeleszczącej. Walka z polskim ruchem narodowym to dziś bardzo dobry geszeft dla wszystkich karyerowiczów. Popierając tę walkę niejedno zero moralne lub przynajmniej intelektualne wyszło już na wielkiego człowieka, kiedy wytrwała obrona polskości daje tylko wewnętrzne zadowolenie, a to sybarytom nie wystarcza. Rozumiemy przeto, że ludzie niezdolni wznieść się na wyżyny ideału, chętnie przykładają ręki, aby od pnia ojczystego odciąć tak piękną gałąź, jaką jest polska Warmia

—

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“, wojująca nader energicznie z antipolską spółką K. H. T. poświęca w Nr. 48 obozowny artykuł niebezpiecznej działalności wielkiego stowarzyszenia i między innemi tak pisze:

„Walka, którą nam spółka KHT wydała, jest skierowana przeciwko naszemu bytowi materyalnemu, należy nam więc też koniecznie zastosować odpowiednie środki obrony, a jednym z najskuteczniejszych jest bezwarunkowo bezwzględne popieranie wszystkiego co swojskie. Niech każdy z nas pamięta, że ten okrada naród swój, który grosze polskie zanosi do obcoplemieńca. „A biada mianowicie temu, którkyby zanosił grosze swoje do członka Tow. KHT.“

—

Z powodu zebrań zwołanych w Poznaniu w sprawie „Ustawy przewrotowej“ i rezolucyi powziętych takie wypowiada opinje „O r ę d o w n i k“ w Nr. 92:

„W Poznaniu odbyły się dwa zebrania, pierwsze partyi dworskiej, drugie ruchu ludowego i na obu zebraniach uchwalono po dwie rezolucye, z których pierwsze stanowczo oświadczyły się przeciw projektowi przewrotowemu, a drugie dwie żądają, by posłowie nasi odstąpili od praktyki otaczania swych obrad i uchwał absolutną tajemniczością. Na zebraniu partyi dworskiej zaszło przy tem to, że zwolennikom „Przeglądu Pozn.“, choć byli w mniejszości, udało się jednak obie te rezolucye przeprowadzić.

Przeciw tym rezolucyom i tym zebraniom wystąpił post festum — tylko jeden „Kuryer“ w sobie właściwy i powszechnie znany sposób, czepiając się osobistości i usiłując obniżyć wartość tych dwóch publicznych manifestacyi. Możnaby to pominąć, ile że do podobnych występów „Kuryera“ za nadto świat przyzwyczajony, gdyby nie ta okoliczność, że „Kuryer“ jest — organem duchowieństwa.

Odezwanie się „Kuryera“ z powodu tych dwóch zebrań i uchwał na nich zapadłych, musi nasuwać pytanie: czy to odezwanie jest tylko objawem osobistej sympatyi i antipatyi jego redaktorów, czy też wyrazem naszego duchowieństwa; czy też może mu z jakiej strony dano w tym kierunku polecenie?

Projekt rządowy obchodzi niewątpliwie żywo nietylko nasze świeckie społeczeństwo, ale także nasze duchowieństwo, mianowicie po zmianach projektu zaprowadzonych w komisyi przez Centrum. Duchowieństwo ma prawo i obowiązek wypowiadać swą opinią o projekcie, i czy to, co „Kuryer“ napisał o obu zebraniach, mamy uważać za opinią duchowieństwa; czy z tych śmiechów i szyderstw „Kuryerowych“ mamy sądzić o opinii duchowieństwa w sprawie projektu i przypuszczać, że duchowieństwo może całe, może tylko w pewnej części jest usposobione za projektem, podczas kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa większa część narodu jest przeciwko niemu?“

—

„G a z e t a O l s z t y ń s k a“ donosi, że redaktora jej p. Pieniężnego

wykluczono z kat. Towarzystwa ludowego, a to dla tego, że p. Pieniężny należał do kat. Towarzystwa Zgoda, które, jak twierdzi ks. dr. Gigalski prezes kat. Towarzystwa ludowego, ma więcej narodowo-polskie niż katolickie cele. Ksiądz dr. Gigalski nie chce mieć nic wspólnego z celami narodowo-polskiemi i tak też napisał p. Pieniężnemu w liście, w którym go zawiadomił o jego wykluczeniu.“

—

Z Bydgoszczy piszą do „D z i e n n i k a K u j a w s k i e g o“:

„Jak wszędzie, tak i u nas w Bydgoszczy zajmuje żywo nasze umysły postępowanie naszych posłów w Berlinie. Obadwa polskie stronnictwa bydgoskie godzą się na to, że przedewszystkiem nasi deputowani powinni jak najczęściej przebywać w Berlinie a nie dojeżdżać tylko chwilowo. Niedawno podczas głosowania w parlamencie, gdy chodziło o powiększenie floty, było na 19 posłów tylko 2 Polaków obecnych. Uniewinnia to poniekąd, że posłowie w parlamencie muszą żyć o własnym koszcie, ale inna rzecz co do deputowanych sejmu pruskiego, którzy dostają dziennie po 15 marek, a jednak często miejsca polskiej frakcyi w Izbie świecą pustkami.

Jeżeli nie można wybrać stosownych posłów z inteligencyi, czemuż nie szukać ich w innych warstwach? Niejeden z nauczycieli, kupców i gospodarzy włościańskich byłby cennym nabytkiem dla Koła polskiego. Nie chodzi przecież o to, aby wszyscy przemawiali w Izbie sejmowej, gdyż nierównie ważne są obrady na posiedzeniach Koła polskiego. Wszakże mieliśmy i mamy posłów Polaków, którzy na plenarnych posiedzeniach nigdy się nie odzywali, a jednak ich wybieramy. W tym względzie mogą nam za wzór posłużyć polscy Ślązacy“.

---

nów nigdy i nikogo nie skrzywdzi. Wolę stokroć sam stracić nie tak jak inni. Na honor — wołał Brechunow właściwym sobie tonem, którym umiał wyprowadzać w pole zarówno sprzedających, jak kupujących. — Wyborny koń.

— Wasza prawda, gospodarzu — zgodził się Nikita z westchnieniem i widząc, że dalej słuchać nie ma czego, wypuścił z ręki kołnierz, który mu zasłonił natychmiast ucho i twarz.

Jechali z jakie pół godziny w milczeniu. Wiatr przeszywał Nikicie na wskroś bok i rękę w tem miejscu, gdzie kożuch był rozpruty. Parobek kurczył się i chuchał w kołnierz, zasłaniający mu usta, wyobrażając sobie, że ciepły oddech grzeje mu ciało.

— Jak sądzisz, czy lepiej jechać na Karamyszewo, czy prosto? — zapytał Brechunow.

Na Karamyszewo prowadziła droga lepsza, wprawdzie wyznaczona starannie dwoma rzędami powbijanych w śnieg sporych drzewek — ale dalsza; prosta droga była bliższa, ale mniej utarta i zaledwie gdzieniegdzie oznaczona lichemi, śniegiem zamiecionemi tyczkami.

Nikita namyślał się przez chwilę.

— Na Karamyszewo wprawdzie dalej, ale raźniej nam będzie jechać tamtędy, — oświadczył po namyśle.

— Ależ i prosto jadąc, bylebyśmy minęli, nie błądząc, dolinę, dalej drogę mieć będziemy wyborną — odparł Brechunow, który wolał wcześniej stanąć na miejscu.

— Wola wasza — odpowiedział Nikita, wypuszczając znowu z ręki kołnierz.

Brechunow skierował konia na krótszą drogę i ujechawszy pół wiorsty, skręcił na lewo od wysokiej, szarpanej wiatrem wiechy dębowej, której się trzymał jeszcze gdzie niegdzie zeschły liść.

Odtąd wiatr mieli w oczy, a z góry śnieg zaczął sypać. Brechunow powoził, nadymając policzki i puszczając oddech w górę, na wąsy. Nikita drzemał.

Jechali tak minut dziesięć w milczeniu, które przerwał Brechunow nagłem odezwaniem się.

— Co się stało? — zapytał Nikita, otwierając oczy.

Gospodarz nie odpowiadał, lecz pilnie rozglądał się dokoła. Koń, którego sierść zaczynała się fryzować od potu na szyi i w pachwinach, szedł stępa.

— Co się stało? — powtórzył Nikita.

— Co się stało? co się stało? — przedrzeźniał go Brechunow gniewnie. — Znaków nie widać. Zbłądziliśmy prawdopodobnie.

— Konia wstrzymajcie, pójdę drogi poszukać — rzekł Nikita, zwinnie wyskakując z sanek, poczem wydostał but z pod słomy i odszedł na lewo, od strony z której siedział.

Śnieg był tej zimy niegłęboki, można więc było iść w dowolnym kierunku, w niektórych wszelako miejscach sięgał kolan i wsypywał się Nikicie do butów. Nikita chodził, tupał nogami, próbował butem, ale nadaremnie.

— No i cóż? — zagadnął Brechunow, gdy parobek zbliżył się do sani.

— Z tej strony drogi nie ma. Spróbuję z tamtej poszukać.

— Hen tam przed nami coś czernieje, pójdźno zobaczyć co to takiego.

Nikita zbliżył się do czerniejącego punktu, ale była to tylko ziemia, którą wiatr zwiał z odsłoniętych zagonów oziminy, zabarwiając nią śnieg na czarno.

Po bezowocnych poszukiwaniach i z prawej strony, Nikita wrócił do sanek, otrzepał śnieg z ubrania, wytrząsł go z butów i usiadł na dawnem miejscu.

— Na prawo trzeba jechać — oświadczył stanowczo. — Wpierw miałem wiatr z lewej strony, a teraz w oczy. Zawracaj w prawo!

Brechunow usłuchał i skręcił w prawo. Ale drogi wciąż widać nie było. Jechali przez jakiś czas polem. Wiatr nie ustawał i śnieg zaczął znowu sypać.

— Ależ zbłądziliśmy, jak widać na dobre! — zawołał nagle Nikita takim akcentem, jak gdyby go to bawiło. — Spojrzyjcie-no tylko! — dodał, wskazując sterczącą z pod śniegu, zczerniałą nać kartoflaną.

Brechunow zatrzymał już spoconego i silnie robiącego bokami konia.

— Cóż stąd? — zapytał.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Pismo „S l o v a c z“, założone przez Czechów w celu zbohemizowania Słowaków orawskich, mieszkających na Morawie, pisze:

„Dziś już widzimy, że głównem zadaniem wiedeńskiej koalicyi parlamentarnej nie jest przeprowadzenie reformy wyborczej, ale utrzymanie s t a t u s q u o posiadłości niemieckich w zniemczonych miejscowościach Morawy, Orawy — oraz Śląska.

„Największem nieszczęściem Austryi jest w chwili obecnej szał germanizacyjny, któremu poświęcono jedność monarchii. Chciano przemocą to, co dała nam natura poprawić i narody całe pozbawić praw przyrodzonych. Tego jednak nie dopuszczą ruskie narodowości, choćby im przyszło wszystko, co posiadają zaryzykować. Jest wręcz niesłychanem w historyi politycznych i narodowych stronnictw, ażeby za cel sobie wybierały wynarodowienie ludów, posiadających wszystkie warunki egzystencyi.

Przed szesnastu miesiącami powstała koalicya której program obejmuje zachowanie i zabezpieczenie rabunku i kradzieży, jakiej się na ziemiach słowiańskich dopuszczono. Jeżeli n. p. w Morawie skutkiem demoralizacyi i nacisku wywieranego z góry Niemcy zdobyli sobie przewagę, to im przewaga ta miała być zagwarantowaną. Bezprawie miało stać się prawem i weszło w program rządu, który dziś tworzy koalicya. Zasada ta bywa z całą ścisłością stosowana u nas wszędzie. Jeżeli gdziekolwiek zawakuje posada, którą posiadał dawniej Czech, to Niemcy żądają zamianowania na jego miejscu swego rodaka w imię praw zagwarantowanych im koalicyą. Z większym naciskiem, grożąc zerwaniem koalicyi domagają się obsadzania Niemcami wszystkich posad ważniejszych. Usuwanie z nich Czechów stało się systemem. Na Morawie; gdzie ludność tubylcza, jest czeską, mamy wszystkich wyższych dygnitarzy Niemców.

Takie stosunki wymagają, ażebyśmy się zorganizowali do oporu. Na czele tego ruchu powinni stanąć w pierwszym rzędzie przywódzcy, a za nimi cały lud...“

* * *

„S l o v a ń s k i S v e t“, organ Słowińców tryesteńskich rozpisuje się o stanowisku antysemitów niemieckich i stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego względem Słowian, co następuje:

„Narodowcy niemieccy t. j. antysemici i partya chrześcijańsko-socyalna zajmuje wobec nas takie same stanowisko wrogie, jak liberałowie żydowscy. Tego dowodem najlepszym uchwała stronnictw Luegera, według której stronnictwo to głować będzie przeciw otworzeniu gimnazyum słowińskiego w Celji.

Takie same stanowisko zajęli chrześcijańsko-socyalni podczas rozpraw w parlamencie, gdy się rozchodziło o subsydyum dla czeskiej szkoły Komeńskiego w Wiedniu. W tem byli zgodni z liberałami. Wobec nas idą jedni i drudzy ręka w rękę. W obecnym składzie parlamentu nie mogą Słowińcy liczyć na nikogo, tylko na Młodoczechów, jedynych obrońców ludów słowiańskich w Austryi. Mniejszym grzechem wydaje się stronnictwu chrześcijańskiemu działać razem z żydami, aniżeli z Młodoczechami.

„Nasze stronnictwo klerykalne powinno raz nabyć przekonania, że od Niemców, czy to od liberałów, czy klerykałów, nie należy się nam sprawiedliwości spodziewać.

* * *

Bułgarski dziennik opozycyjny „S a g ł a s i j e“ („Zgoda“) donosi:

„Jak naszym czytelnikom wiadomo, ogłosiliśmy dosłowny tekst rozporządzenia ministra Stoiłowa, w którem tenże nakazuje prefektowi w Piałej Slatinie, ażeby w razie okazania się większości głosów po stronie Cankowa, świece w lokalu wyborczym zagasił i zniszczył kartki wyborcze. Wiadomość tę powtórzyły za nami pisma zagraniczne. Faktowi atoli zaprzeczyła „Agence Balcanique“ dodając ze swej strony fałsz, że redakcya „Sagłasija“ wszystko odwołała.

Redakcya naszego pisma wzywała już rząd kilkakrotnie, aby w tej sprawie wytoczył śledztwo, czego atoli nie zrobiono. Gdyby śledztwo wytoczono, redakcya przed sądem udowodni prawdziwość faktu. Wzywamy czasopisma zagraniczne, ażeby sprawą tą się zajęły: równocześnie artykuł drukujemy po niemiecku i przesyłamy go redakcyom pism austryackich i węgierskich.

„Tym to sposobem wyświetli się rzecz cała i nasze stosunki opłakane, oraz wartość moralna naszych konserwatywnych rządów...“

* * *

„S r p s k i G l a s“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, polemizuje z chorwackim „Obzorem“ w sprawie agitacyi chorwackich w Bośni wśród Serbów mahometańskich:

„W tych dniach umieścił „„Obzor““ artykuł rzekomo pochodzący z pióra Bośniaka mahometańskiego, który się mianuje Chorwatem,

„Ów Chorwat mahometański uznaje aneksyę austryacka i gniewa się na Rosyą, że jest temu przeciwna. Bośnia historycznie przynależy do Chorwacyi, Bośnia i Hercegowina są częścią królestwa chorwackiego.

„Jeżeli Rosya kraje te chce przyłączyć do Serbii, — tak pisze — to temu sprzeciwiłaby się cała ludność mahometańska. Serbia nie daje rękojmi żadnej, abyśmy mahometanie mieli równouprawnienie.

„Takie zarzuty robi mahometanin Serbom.

„Prawda, że Serbowie bili mahometan, ale bili ich walcząc za swoją wolność. Mamy w Serbii inowierców — a katolików, ale rząd nas ich nie prześladuje, owszem używają praw porówno z nami; nie inaczej obchodzonoby się z mahometanami.

„Jeżeli ów Chorwat mahometański uznaje aneksyę za rzecz godziwą, to mu tego nie bierzemy za złe, ale skąd te prawa historyczne Chorwatów do Bośni?! Rząd austryacki popiera obecnie Chorwatów na urzędach w Bośni, ale to w tym celu tylko, aby nas rozdwoić. Po Chorwatach przyjdą Niemcy i Madziarzy, aby dokonać dzieła wynarodowienia...“ *K.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(Notatki).

IV.

(Kartel właścicieli statków parowych. Syndykaty cukrownicze. Sztuczka cukrowników. Trust amerykański. Proces. Związek towarzystw kolejowych. Syndykat towarzystw kopalni węgla w nadreńskich prowincyach.)

Większe widoki powodzenia ma kartel zawiązany pomiędzy właścicielami statków parowych, przeznaczonych do holowania na Elbie. Powodem było obniżenie ceny przewozowej wskutek konkurencyi wzajemnej, która zmuszała zarówno szyprów jak właścicieli statków holowniczych do układania kontraktów bardzo niekorzystnych, byle upewnić sobie zajęcie na cały rok. Obecnie właściciele statków parowych postanowili zawierać umowy z szyprami jedynie przez biuro syndykatu, które cały transport rozłoży tak, aby każdy statek zajęty był odpowiednio. Z góry zastrzeżono, że ceny nie powinny być tak wygórowane, żeby nie uniemożliwiały transportu towarów, z których wiele może być dostarczane na rynki tylko dzięki taniemu transportowi rzecznemu. Wchodzi też w grę konkurencya dróg żelaznych. Tym sposobem 8 wielkich firm zjednoczyło w swoich rękach prawie cały handel pomiędzy górną Elbą a Hamburgiem, handel niezmiernie doniosły.

W Austryi prawodawstwo stawia dotąd tamę rozwojowi kartelów. O ten szkopuł rozbił się niedawno kartel fabrykantów krochmalu i dekstryny, jak również w roku przeszłym kartel cukrowników. Ci ostatni nie dają jednakże za wygrane i usiłują zawiązać syndykat. Wniosek odpowiedni podał baron Stummer, prezes praskiej

---

— A to, że jesteśmy aż pod Zacharjówką, Hen, gdzieśmy zajechali!

— Łżesz! — zaprzeczył Brochunow, który teraz wyrażał się już zgoła inaczej, jak w domu, mówiąc zwyczajnym, chłopskim głosem.

— Co miałbym łgać, gospodarzu, prawdę mówię — bronił się Nikita. — A toć i ze stuku sanek poznać można, że kartofliskiem jedziemy, a tam oto w kupy, złożona nać widnieje. Gorzelniane pole i tyle!

— A tośmy trafili! — biadał gospodarz. — I cóż teraz poczniemy?

— A cóżby? prosto przed siebie jechać trzeba, a z pewnością dokądkolwiek dojedziemy, jeżeli nie do Zacharówki, to na pański folwark — uspakajał Nikita gospodarza, który stósownie do jego rady konia skierował.

I znowu sunęli tak dość długo, już to trafiając na obnażone miejscami z śniegu zagony oziminy, gdzie miedze i zaspy wiatr przyprószył czarną ziemią, już mijając rozmaite ścierniska, na których poruszały się wichrem szarpane źdźbła słomy i łodygi piołunu, to znowu wjeżdżali w śnieg głęboki, ścielący się jednostajnie białą płachtą, z pod której nic już zgoła nie przezierało. Śnieg sypał z góry, a zarazem białemi kłębami zrywał się z ponad ziemi. Chwilami zdawało się jadącym, że się wspinają pod górę, lub z niej się spuszczają, to znowu mieli złudzenie, że sanie ich stoją w miejscu, a śnieżne pole umyka przed nimi. Milczeli obaj. Koń, widocznie zmęczony, ze zjeżoną i szronem okrytą sierścią, szedł stępa, gdy nagle usunął się i ugrząsł w rowie, lub jamie. Brechunow chciał go zatrzymać, ale Nikita sprzeciwił się temu.

— Po co stawać! Jak wpadliśmy, tak teraz wydostać się musimy. Wio, mały! wio rodzony! — wołał raźnie na gniadosza, zeskakując z sani i sam grzęznąc w śniegu.

Koń szarpnął i wydostał się od razu na zmarzniętą zaspę. Był to widocznie rów, ręką ludzką przekopany.

— I gdzież to jesteśmy? — pytał Brechunow.

Z czasem się dowiemy, a teraz ruszać trzeba i tyle! Dokądkolwiek dojedziemy.

— A hen tam, dalej, to już chyba goriaczkinowski las czernieje? — pytał Brechunow, wskazując ręką oddalony jakiś punkt.

— Gdy dojedziemy, to się i przekonamy las czy nie las — odparł parobek.

Nikita zauważył unoszące się w powietrzu podłużne, suche liście wierzbiny, które wiatr nawiewał z tamtej strony i stąd wnosił, że to nie las czernieje, tylko siedziba ludzka, ale mówić o tem nie chciał.

Jakoż rzeczywiście zaledwie odsunęli się na kilkadziesiąt kroków od rowu, gdy zarysowały się przed nimi wyraźnie drzewa, a w powietrzu dał się słyszeć szczególniejszy jakiś, żałośny dźwięk. Domysł Nikity sprawdzał się; był to nie las, ale szereg wysokich wierzbin z szamocącym się jeszcze na gałęziach tam i owdzie liściem. Wierzby wznosiły się prawdopodobnie nad rowem, otaczającym stodołę gminną. Koń, znalazłszy się przy ponuro jęczących z wiatrem wierzbinach, wspiął się przedniemi nogami wyżej niż sanie, poczem wygramolił się i tylnemi i przestał nagle tonąć w śniegu po kolana. Wydostał się na gościniec.

— Przyjechać, przyjechaliśmy — zauważył Nikita — ale niewiadomo dokąd.

Koń szedł nie zbaczając z kopnej drogi i dotarł wkrótce do płotu, otaczającego stodołę, z której śnieg się sypał bez przerwy. Od stodoły droga biegła pod wiatr i gniadosz ugrzązł w zaspie, ale tuż za nią ciągnął się zaułek między dwoma domami, łatwo więc było odgadnąć, że zaspa utworzyła się wśród drogi i że trzeba ją minąć. Jakoż wydostawszy się z zaspy, znaleźli się już we wsi. W pierwszem podwórzu wiatr szarpał niemiłosiernie rozwieszoną na sznurku, zmarzniętą bieliznę; dwie koszule, jedną czerwoną i jedną białą, parę spodni i onuce. Biała zwłaszcza koszula szamotała się wściekle, wywijając rękawami.

— A to ci dopiero leniwa gospodyni, a może śmiertelnie chora leży w chacie, że bieliznę z płotu nie zdjęła przed świętem — zauważył Nikita, patrząc na bujające w powietrzu koszule.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

filii wiedeńskiego związku centralnego cukrowników. Chodzi właściwie o zawiązanie dwu syndykatów. Jeden z nich ma objąć fabryki mączki i takie, które wytwarzają mączkę i rafinadę, drugi zaś obejmie same tylko rafinerye. Drugi syndykat kupuje mączkę wyłącznie od pierwszego. Fabryki mączki płacą pewną sumę od ilości przerabianych buraków, rafinerye od mączki. Sumę tę syndykat następnie rozdziela pomiędzy członków. Naturalnie ceny w sprzedaży podniosą się o tę właśnie kwotę wpłaconą przez fabryki. Syndykat normuje ilość produkcyi stósownie do zapotrzebowania i wielkości pojedyńczej fabryki. Prócz tego jeszcze każda rafinerya ogranicza się do pewnego okręgu zbytu. Cukier na wywóz składki nie opłaca, ewentualnie ma być nawet wyznaczona premia na wywóz ze strony syndykatu. Na zarzut prasy, że i tu nastąpi jak przy kartelu zwyżka cen w konsumcyi, pewien rzecznik fabrykantów „Neue freie Presse“ przyznał naiwnie, że właściwie celem syndykatu jest obniżenie ceny materyału surowego. Więc ci słodcy producenci mają zamiar chwalebny zwalić skutki kryzysu cukrowego na barki rolników. Sądzimy że i tu prawodawstwo austryackie położy veto.

Nie wiedzie się też cukrownikom w Rosyi z tak zwaną „normirówką“. Wprawdzie dzięki kartelowi zdołano utrzymać ceny bardzo wysokie, jak również obniżyć ceny buraków. Ostatni cel jak wiadomo osiągnięto przez usunięcie zupełne wzajemnej konkurencyi. Plantator zmuszony jest sprzedawać buraki tej cukrowni, do której rejonu został przypisany i po cenie przez nią wyznaczonej; inna nie ma prawa kupować od niego. Pomimo to przy wysokich cenach niektórzy producenci widzieli korzystniejsze dla siebie warunki, jeżeli wyłamią się z pod władzy kartelu i będą produkowali ponad wyznaczoną normę. Wytoczono im procesy, które naturalnie nie prędko się skończą przy znanej szybkości rosyjskiej procedury sądowej. Rezultat jest wątpliwy i wskutek tego na tegorocznych kontraktach kijowskich zawierano umowy z zastrzeżeniem, że tracą one prawomocność w razie rozchwiania się kartelu. O przebiegu sprawy nie omieszkamy poinformować czytelników po ukończeniu procesu.

Lepiej powiodło się amerykańskim producentom. Tamtejszy trust cukrowniczy walczy o lepsze z trustem wódczanym pod względem wyzysku konsumentów, gdy Standard Oil Uny trzyma palmę zwycięztwa, o ile chodzi o bezwzględne niszczenie konkurentów i pod tym względem za wzór służyć może wszelkim kartelom. Główną sztuczką związku cukrowników było przeprowadzenie ustawy celnej, według której na cukier pochodzący z państw wypłacających premie wywozowe, nałożono cło dodatkowe. Przeciwko tej ustawie zaprotestował ambasador niemiecki i toczą się tu jeszcze układy dyplomatyczne. Natomiast konsumentów krajowych już teraz łupi się bez miłosierdzia a z wielkiem powodzeniem. Połowę rafineryi zamknięto podobno, a inne jeszcze ma spotkać ten sam los czasowo. Związek sprowadził bowiem olbrzymie masy mączki i zrafinował ją zanim jeszcze przeprowadzono taryfę, tak że dziś tylko przez zupełne wstrzymanie produkcyi jest w stanie utrzymać ceny. Urzędowe podwyższenie taryfy było już tylko ostatnim aktem tej olbrzymiej spekulacyi. Rozległy się wówczas głosy, że trust podejrzanemi bardzo środkami skłonił niektórych senatorów do przyjęcia korzystnej dla siebie taryfy celnej. Jak zwykle w takich razach wyznaczono komisyę parlamentarną do zbadania sprawy; komisya badała i jak zwykle nie wykryła nic. Tymczasem prokurator generalny zajął się tą sprawą w październiku członkowie trustu Henry Haremeyer, Jones Searles i makler Allon Seymour zostali oskarzeni przed sądem, ponieważ odmówili zeznań przed komisyą. Proces zakończył się niczem. Prokurator nie dał za wygrane i wytoczył trustowi drugi proces na zasadzie billu Shermana wzbraniającego związków mających na celu koalicyą handlarzy dla podniesienia cen artykułów żywności. Proces przechodził kilka instancyi i ostatecznie został rozstrzygnięty na korzyść trustu. Było to do przewidzenia, gdyż bill Shermana z dnia 2. lipca 1892 roku zabrania jedynie łączenia się korporacyi w celu ograniczenia lub kontrolowania handlu pomiędzy stanami pojedyńczemi i zagranicą. Łatwo więc było przedstawić rzecz tak, że trust jest jedynie połączeniem kilku wielkich rafineryi w celu unormowania swojej tylko produkcyi i bynajmniej nie troszczy się o handel cukrem w ogóle. A że tam „ktoś“ sprowadza na rachunek trustu olbrzymie masy cukru i tylko na tej zasadzie spekulacya była możliwą, o tem niekoniecznie sędzia wiedzieć musi, a jeżeli nie musi, to nie wie. Jest przecież sędzią amerykańskim, a jako taki jest „smard.“

Jednocześnie prawie parlament amerykański zniósł ustawę zabraniającą towarzystwom dróg żelaznych zawierać związki mające na celu podział pomiędzy siebie ruchu kolejowego lub podział zysków. Prawo to miało na celu utrzymanie wolnej konkurencyi pomiędzy kolejami. W praktyce okazało się, że rezultatem była niesłychana korupcya w stosunkach kolejowych, pomijano bowiem stale ustanowione taryfy przewozowe przez udzielanie rabatów interesentom, byle podkopać kolej konkurencyjną. To spowodowało w dalszym ciągu protegowanie jednych interesentów na niekorzyść innych. Trzeba było temu zapobiedz, dozwalając kolejom jawnie podzielić pomiędzy siebie zyski, ale też jednocześnie podnieść taryfę, która dotąd jest rujnująco nizką. Odtąd koleje będą podlegały jedynie dozorowi komisyi ruchu w transporcie pomiędzy stanami pojedyńczymi. Należy więc oczekiwać rozkwitu kartelów kolejowych.

Jeden jeszcze fakt ostatniej doby godzien zaznaczenia, fakt połączenia w jeden olbrzymi syndykat towarzystw kopalni węgla i wytwarzania koksu w nadreńskich prowincyach. Od lat kilku istnieje syndykat kopalni nadreńskich i westfalskich, produkujący około 40 milionów ton węgla kamiennego rocznie. Sprzedaż odbywa się wyłącznie przez syndykat, on wyznacza ceny, on też normuje produkcyą ,oznaczając, jaką ilość węgla każda z kopalń ma dostarczyć dla sprzedaży (większa część kopalń połączona jest z zakładami hutniczemi i produkuje w części na własne potrzeby). Znamiennym jest fakt, że od jesieni przeszłego roku pruskie koleje państwowe zawarły z syndykatem umowę na dostawę węgla w ilości 1,600,000 ton. Drugi syndykat istniejący od roku 1885 obejmował większą część koksowni w tychże prowincyach. Produkcya wynosiła w roku 1885 2,800,000 ton, w roku 1891 3,900,000 ton, w roku 1894 4,750,000 ton koksu, wartości przeszło 50 milionów marek. Teraz dwa te olbrzymie syndykaty zawarły umowę, na mocy której produkcya koksu i węgla będzie normowaną wspólnie. Syndykat węglowy obowięzuje się dostarczyć węgla potrzebnego koksowniom, natomiast nie będzie sprzedawał węgla żadnej koksowni, stojącej po za związkiem, jak również syndykat koksowy obowięzuje się nie kupować węgla od żadnej kopalni, stojącej po za syndykatem węglowym. Każdy syndykat załatwia interesy bieżące z producentami samodzielnie, jednakże regulacya cen i produkcyi odbywa się jedynie na zebraniach wspólnych obu syndykatów. Tym więc sposobem wszystkie zakłady hutnicze, walcownie i fabryki stali są zależne od syndykatów dostarczających węgiel i koks. Zakłady te są oddawna w ręku syndykatów oddzielnych, wobec czego połączenie wszystkich tych przedsiębiorstw w jeden olbrzymi syndykat jest rzeczą prawdopodobną. Stąd konsekwentnie należy wyprowadzić wniosek, że uregulowanie całej tej produkcyi podług z góry zakreślonego planu jest tylko logiczną konsekwencyą odbywającego się ruchu.

J. B, M.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Obchód unii brzeskiej. — Wiec katolicki. — Głodomory. — Polemika o akademią. — Wyścigi i opera.)

Ciekawym probierzem przywiązania rusinów do katolickiego Kościoła będzie obchód trzechsetnej rocznicy kościelnej unii brzeskiej, naznaczony na pierwsze dni października. Główna uroczystość odbędzie się naturalnie we Lwowie. Nie ulega wątpliwości, że kler ruski chętnie czy niechętnie, przez samą lojalność i dla własnego interesu weźmie udział w jubileuszu; o udział ludu także można być spokojnym, bo lubo nie zawsze ma on dobrych pasterzy, to przecież jest przywiązanym do religii swych ojców i bez rozumowania pójdzie za odgłosem swego uczucia. Ciekawym tylko będzie, jak się zachowa inteligencya ruska, a zwłaszcza ta, która się wypiera moskalofilstwa. W obecnem położeniu wierność Kościołowi unickiemu, znaczy jednocześnie wierność narodowości ruskiej; ci rusini, co ciągną do prawosławia, wyrzekają się własnej narodowości, a choć często dla interesu mienią się lojalnymi poddanymi państwa austryackiego, to przecież skrycie wielbią carat i władcę swego widzą w Petersburgu. Gdzieindziej wiara jest rzeczą sumienia i nie rozstrzyga o narodowości; pomiędzy rusinami galicyjskiemi zaś jest identyczna z narodowością. Ztąd religijny obchód unii staje się obchodem politycznym, choćby nie wiem jak tłomaczono, że tu idzie o wiarę a nie o politykę. Dlatego też jubileusz unii postawił od razu w niemiłej sytuacyi tak zwanych świętojurców t. j. partyą staroruską, której prowodyry oficyalnie należą do Kościoła katolickiego. Cofnąć się od udziału w obchodzie, to znaczy zdemaskować się, — wziąć w nim udział, to zerwać z dotyczasową polityką, narazić się dostarczycielom rubli. Organ moskalofilski „Hałyczanin“ uderza też w wielki dzwon na trwogę, zakładając protest przeciw politycznej stronie obchodu. Tej politycznej strony w programie zupełnie nie ma, owszem, do najmniejszych szczegółów, wszystko odbędzie się na gruncie czysto kościelnym. Ktoż winien, że wierność lub niewierność Kościołowi unickiemu ze strony rusinów, jest dowodem ich politycznych przekonań.

Na parę miesięcy przed jubileuszem unii ma się odbyć we Lwowie drugi galicyjski Wiec katolicki; pierwszy odbył się w r. 1893 w Krakowie. Spodziewać się należy, iż urządzający wiec lwowski skorzystają z doświadczenia i nie popełnią tych omyłek, które wiecowi krakowskiemu odebrały wszelkie znaczenie. Był on zaarażowany bez żadnej znajomości rzeczy, nie wciągnięto do niego szerszych warstw, zmieniono go na popis kilku osobistości. Natworzono masę sekcyi, które jednocześnie obradowały, a więc przeszkadzały sobie; nazbierano masę referatów tak, że dyskusya nad niemi była wprost niemożliwą. Ani jednej kwestyi porządnie i wyczerpująco nie omówiono; wszystko szło dorywczo, aby tylko pospychać referaty i pochwalić się mnogością uchwał z góry już przygotowanych. Rezolucyi wszelkiego rodzaju było ze sto, jeżeli nie więcej — i żadna z nich dotychczas nie weszła w życie. A! prawda, usiłowano w „Czasie“ wykonać uchwałę wiecu, tyczącą się informowania publiczności o książkach właściwych dla dorastającej młodzieży. Ażeby rodzice wiedzieli, co mogą czytać panienki, ogłosił „Czas“ w myśl uchwały wieca katolickiego, że parę piór niewieścich podjęło się w jego łamach pomieszczać odpowiednie recenzye. I w ciągu lat dwóch były w „Czasie“ aż dwa artykuły tego rodzaju: w pierwszym z nich jakaś niewiasta czasowa pisała o „Emancypantkach“ Prusa i o jakiejś drugiej powieści, która również, jak „Emancypantki“ nie była całkiem dla... panienek; w drugim artykule druga niewiasta polecała trzy książeczki... francuzkie. Oto i cały plon z wiecu

krakowskiego, oto i całe zastosowanie się pisma katolickiego do jego uchwał. Bo trudno przypuszczać, ażeby „Czas“ reklamę dla Lisystraty i dla innych sztuk nieprzyzwoitych i niemoralnych uważał za wypełnienie uchwały sekcyi dziennikarskiej Wieca katolickiego, która wzywała pisma katolickie do strzeżenia moralności i przyzwoitości na deskach teatralnych.

Ponieważ pisma nasze ucichły już ze swojemi lamentami nad petycyą wniesioną przez galicyjskich nauczycieli ludowych do Rady państwa, można przeto spokojnie o tej sprawie pomówić. Oświata ludowa dziwnie jest u nas traktowana. Ciągle wołamy o zakładanie nowych szkół, lamentujemy, że jest ich za mało, mamy nawet Towarzystwo Szkoły ludowej, którego głównym celem jest przychodzenie w pomoc gminom nie posiadającym funduszów na stawianie budynków szkólnych, a tymczasem i do tych szkół, które istnieją, brak jest dostatecznej ilości nauczycieli. Czterysta szkół jest zamkniętych, bo nie ma w nich kto uczyć. Jakaż przyczyna tego braku nauczycieli, czy nie ma wcale w Galicyi proletaryatu inteligencyi, czy nie ma szkół przygotowujących kandydatów na nauczycieli ludowych? Owszem, wszystko to istnieje, tylko zmniejsza się coraz więcej liczba ludzi, chcących się skazać na nędzę całego życia. Nauczyciel szkoły ludowej na wsi pobiera 250 do 300 złr. Jeżeli przypadkiem ma jakiś swój własny fundusik, którym obraca jego gospodarna żona przez chów nierogacizny i drobiu, jeżeli znajdzie we dworze zajęcie przy dzieciach właściciela, to biedę swoją łata jak może. Ale inaczej trudno mu wyżyć i popełnia po prostu zbrodnię jeżeli się żeni i tworzy rodzinę, zbrodnię podwójną, bo skazuje najbliższych na nędzę i poniewierkę, a jednocześnie wśród kłopotów opuszcza się w pełnieniu swych obowiązków. Prawdziwie drakońska ustawa każe mu lat czterdzieści czekać na emeryturę, czego skutek jest taki, że zaledwie jeden na pięciuset dożyje, albo dotrzyma do tej upragnionej chwili. Nie wolno mu również przyjmować żadnych innych stałych obowiązków n. p. pisarza gminnego. I są jeszcze ludzie dziwiący się, że w tych warunkach brakuje nauczycieli. Okropne położenie większej ich części było powodem, że wnieśli do sejmu petycyą o polepszenia ich bytu. Z petycyami temi sejm obszedł się nielitościwie, pomimo rozumnych i uczciwych przemówień kilku posłów. Bezwzględność sejmu poruszyła do żywego sfery nauczycielskie i wywołała ową petycyą do Rady państwa, petycyą bardzo przykrą, bo będącą aktem oskarżenia dla autonomii galicyjskiej. Oburzać się na nią można, ale godzi się zapytać, kto jest winowajcą? Cała prasa z małym wyjątkiem potępiła nauczycieli. Ci jednak bronią się i tłomaczą. Świeżo w Stanisławowie walne zebranie oddziału Towarzystwa pedagogicznego powzięło uchwałę, w której oświadcza, że się solidaryzuje z tymi co wnieśli petycyą do Rady państwa, gdyż „droga, jaką nauczycielstwo w dochodzeniu swych słusznych żądań obrało, nie była protestem przeciw autonomii krajowej,, lecz smutną koniecznością, wywołaną przez skrajną nędzę i lekkomyślne traktowanie ze strony czynników krajowych żywotnej kwestyi polepszenia stosunków materyalnych nauczycieli ludowych“.

Innego rodzaju polemika toczy się o Akademią umiejętności. Sekretarz tej instytucyi, prof. Smołka wydrukował rodzaj memoryału o złym stanie finansowym Akademii i dołączył go do paru dzienników. Bardzo słusznie dowodził prof. Smolka, iż obszar zadań akademii jest tak wielki, że nawet na częściowe jego wypełnienie nie wystarczają jej skromne dochody, ztąd Akademia nie mogąc przystąpić do żadnego kosztowniejszego przedsięwzięciu musi publikować przeważnie materyały drugorzędne. Należy więc raz się zdecydować i obracać przedewszystkiem dochody na wydawnictwo prac naukowych, a dopiero kwotę pozostałą oddawać komisyom na wydawnictwo materyałów. Chcąc jednak w ten sposób uregulować budżet, potrzeba zkądkolwiek uzyskać kwotę 20,000 złr. Drugą palącą kwestyą jest brak pomieszczenia dla zbiorów naukowych, — odpowiednie dobudowanie gmachu obliczone zostało na 15,000 złr. Nie wchodząc w dalsze szczegóły odezwy prof. Smolki zaznaczyć muszę, że całe przedstawienie rzeczy dawało dziennikarstwu pole do uwag poważnych i do poparcia akademii. Na takie poważne uwagi jednak, lub na przedmiotową polemikę, nie zdobyło się nasze dziennikarstwo. Pojawił się tylko oponent w osobie p. Stanisława Tomkiewicza, który w liście otwartym zarzucił Akademii, że nie umie rządzić swojemi funduszami i że wydaje wiele rzeczy bez wartości. Nie ma miejsca w korespondencyi na rozbiór zarzutów oponenta, ani też na rozbiór kilku artykułów, które w odpowiedzi p. Tomkiewiczowi pomieścił prof. Smolka w „Czasie“, ani wreszcie na streszczaniu dupliki p. Tomkiewicza, która świeżo się ukazała w „Głosie Narodu“. A choćby było miejsce, przyznaję się, że niechętnie zajmowałbym się tą polemiką, która zeszła na tory nadzwyczaj niewłaściwe, całkiem nieodpowiednie godności i powadze takiej instytucyi, jak jest Akademia. Gdyby prof. Smolka zupełnie nie odpowiadał p. Tomkiewiczowi, nie możnaby mieć do niego o to żadnej pretensyi, ale kiedy się zdecydował odpowiadać, to odpowiedź mogła być krótka i przedmiotowa. Tymczasem prof. Smolka uniósł się, odpowiedział szeroko, nie uchronił się od wycieczek treści osobistej i zaczął na prawo i na lewo gromić mniemanych, a skonfederowanych nieprzyjaciół Akademii rozdrażnił sprawę i zbiera teraz cierpkie owoce swego wojennego animuszu. W ten sposób prowadzona dyskusa nietylko jej nie pomoże, ale owszem szkodę wyrządza.

Nie ma funduszów na Akademią, na podwyższenie płac nauczycielskich i na wiele innych rzeczy, ale są fundusze na wyścigi i na operę w Krakowie. Nie na żarty cywilizuje się on i zostaje wielkiem miastem. Toć w Warszawie, jak Warszawa Warszawą, nie było większej nagrody wyścigowej nad dwa tysiące rubli, a w Krakowie pierwsza nagroda tegoroczna wynosić będzie 40,000 koron. Poznać pana po cholewach! Gdyby Akademia zajmowała się sportem z pewnością nie potrzebowałaby biadać nad brakiem funduszów. Ba! i opera będzie nielada; proszę sobie tylko pomyśleć, że na letni sezon operowy zostali zaangażowani do Krakowa: Myszuga, Hellerówna, Bandrowski, Jeronim, Abendrothówna i t. d. I jest nadzieja, że się ta opera utrzyma i przedsiębiorcom zostanie jakiś grosz w zysku. Nadzieję tę opieram na tem, że przez kilka lat z rzędu goszcząca w Krakowie przez lato operetka lwowska, kiedy już odśpiewała wszystkie swoje tłuste i chude kuplety, zabierała się zawsze w końcu do wykrzykiwania oper. I choć wróble padały trupem od tego ryku, a szczury wynosiły się za miasto przed tą piszczącą konkurencyą, poczciwi obywatele krakowscy płacili za znęcanie się nad swemi uszami i za patrzenie na więcej jeszcze brzydkie niż stare chórzystki operetkowe. Ale Myszuga i Bandrowski — będzie co słyszeć, Hellerówna i Abendrothówna — będzie na co patrzeć! Radzę tylko reżyserowi ułożyć repertuar odpowiednio do miejscowych stosunków. Niech więc naprzód pójdą „Pajace“ na cześć różnych naszych wielkości, później dać można „Faworytę“ ze względu na stosunki teatralne, dalej „Żydówkę“ dla zjednania sobie żydów z Kazimierza i „Proroka“ na cześć p. Koźmiana itd.

K. Bartoszewicz.

Listy z Berlina.

Berlin 23 kwietnia.

(Jak się Berlin modli. — Atak na swobodę teatrów. — Proletaryat umysłowy E Wollzogena. — Kwestya małżeńska.)

Z dniem jutrzejszym Berlin otrząśnie się z politycznej drzemki, w którą zapaść sobie pozwolił, dzięki feryom świątecznym i przerwie w obradach parlamentu. Przerwa ta była o tyle korzystną, że zastraszonym groźbą ustawy antiprzewrotowej pozwoliła powrócić do równowagi tak, że rozejrzawszy się wśród ogólnej niechęci, jaka ją spotyka z tem większą odwagą i nadzieją zwycięstwa przeciw niej występować mogą.

Zgromadzenia zwoływane w tej sprawie, jednomyślnie nieomal wypowiadają się przeciwko ustawie, która taki kaganiec nałożyć by musiała na myśl i słowo. W każdym razie głosowanie za ustawą wejrzeć nam pozwoli, jaką jest istotna przyjazna jej mniejszość i czy rząd w ciągu najbliższych dziesiątków lat może mieć nadzieję postawić cenzurę policyjną, jako trybunał ponad wszelkiemi objawami umysłowego, artystycznego i politycznego życia.

W chwilach gdy od polityki odetchnąć można, warto się rozejrzeć, jak się Berlin modli, a raczej jak się modlił w dni przez wszystkie kościoły nakazane. Berlin, o ile sądzić mogę, nie jest zbyt pobożnem miastem, jest niem prawdopodobnie mniej od Wiednia, gdzie ceremonie i nabożeństwa znaczną jeszcze w życiu ludności odgrywają rolę. Wpływa na to w pierwszym rzędzie fakt, że miasto protestanckie, a więc pobożność ujęta w karby, z góry przepisana, oficyalna uspakaja sumienia ścisłem wypełnieniem obowiązków religijnych, mało zaś pozostawia pola do owych religijnych zachwytów i ekstazy tak pospolitej w krajach katolickich, zwłaszcza w krajach nieszczęśliwych, uciśnionych, gdzie uczucia niezadowolenia społecznego i czyste, patryotyczne porywy jedynie w modlitwie ujawnić się mogą. Pomimo to w ciągu świąt, jeżeli jeszcze o nich wspomnieć wolno, wszelkie przybytki modlitwy roiły się ludem, a rozbrzmiewały muzyką i śpiewami.

Nie chciała też w tyle za innemi pozostać wolnomyślna gmina, która w oba dni świąt urządzała w wielkiej sali na Rosenthalerstrasse rodzaj nabożeństwa. Do historyi i rozwoju obecnego gminy tej powrócę za innym razem; na dziś niech wystarczy, że stoi na jej czele znany publicysta; literat Bruno Wille, i że zgromadza ona co niedzielę na nabożeństwa wspólne około 500 osób. Nabożeństwo takie rozpoczyna się i kończy śpiewem, środkową i główną część wypełnia wykład, któremu z większą uwagą, a może i z niemniejszem uniesieniem przysłuchuje się publiczność, niż kazaniom księdza proboszcza po kościołach naszych. Ciekawą przedewszystkiem jest ta publiczność: to nie jakieś grono literatów, publicystów, artystów słowem wybranych, którzy oddzieliwszy się od tłumu urządzają sobie duchowe agape. Kto wie, czy taki dobór nie byłby więcej pociągającym dla waszego korespondenta. Tu jednak tak nie jest: Twarze i ubrania zdradzają co najwyżej stan średni, klasę pracowitą i pracującą o niewielkich wymaganiach artystycznych i umysłowych, która szuka przecież innej strawy duchowej niż ta, którą oficyalne instytucye dać jej mogą.

Nowy kościół, czy kościół przyszłości, jest dotąd bardzo ubogi; nagie ściany brak instrumentów muzycznych dotkliwie uczuć się dają człowiekowi, który religijne wrażenia zastąpić by rad estetycznemi, pomimo to potrzeba połączenia się wspólnym religijnym nastrojem z ogółem w pewne dni roku jest tak potężną, iż przyznaję, że z przyjemnością przysłuchiwałem się nabożeństwu. Wystąpił sam Bruno Wille, postać stworzona na ludowego trybuna, górująca nad innemi wzrostem, głosem, wreszcie spokojem i przekonaniem z jakiem wypowiedział swą mowę.

Zmartwychwstanie?! — wołał. Gdy usunąć dogmat religijny, co czcić będziemy w dniu takim? Oto zmartwychwstanie myśli ludzkiej przebudzenie się świadomości, poczucia godności własnej i szerszych aspiracyi umysłowych, którym już nauka kościelna z aparatem swoich form wspaniałych, lecz sztucznych nie wystarcza. Wiosna, w której budzi się cała natura najwięcej może nadaje się do rozmyślań podobnych zwłaszcza, gdy się człowiek poczuje cząstką tej natury, gdy zrozumie owe nici wiążące całość i uważa się za jedno z ognisk w wielkim łańcuchu stworzeń.

Żyjemy przecież w tak na wskroś uspołecznionych czasach, że w tym nastroju panteistyczno-komicznym mówca niedługo potrafił się utrzymać, przechodząc do spraw codziennych. Kwestyą na czasie dla gminy wolnomyślnej jest obecny jej rozłam z demokracyą społeczną, która ze względów faktycznych potępia wszelkie ruchy nie mające na celu walki o polityczn-

i ekonomiczne prawa ludu. jakkolwiek dążność ich i treść byłyby zupełnie w jej duchu. Wolnomyślni, stojący dalej od walki o interes materyalny, rozpocząć chcą przeobrażenie stosunków społecznych od udoskonalenia samego człowieka, pragną go przedewszystkiem podnieść umysłowo i moralnie i dla tego przyjmują chętnie każdego, co rad podjąć walkę o swobodę ludzkiego ducha, bez względu na jego przekonania polityczne. Bruno Wille, jakkolwiek w teoretycznych swych dziełach indywidualista sans phrase*), nie ogranicza się w swej działalności społecznej na prowadzeniu gminy wolnomyślnej. Stoi on również na czele teatru, w którym sztuki z nowoczesną tendencyą grane są przez amatorów, a dostęp otwarty członkom stowarzyszenia i wprowadzonym przez nich gościom — „Neue freie Volksbühne“. Ta scena wolna, która w ostatnich czasach bardzo pomyślnie rozwijać się poczęła, zagrożona jest obecnie w swojej egzystencyi. Pod pozorem, że przestępuje prawo z 10go lipca 1851 roku, mocą którego stowarzyszenia tylko w gronie swoich członków urządzać mogą przedstawienia teatralne bez uprzedniej cenzury sztuk, policya zakazała przedstawień. Uprzedzając, jak widać, paragrafy niepewnej co do swego urzeczywistnienia ustawy anarchicznej, policya stawia veto wolnym teatrom. W teatrze Willego, kiedy zgromadzona publiczność oczekiwała podniesienia się kurtyny: — grać miano Alshilda Agrella „Einsam“ — podniósł się z pierwszego rzędu krzeseł przedstawiciel władzy, zapowiadając, że sztuka nie jest dozwoloną. Publiczność nie ruszając się z miejsc czeka, co będzie dalej, kurtyna się podnosi, na scenie widać samotną młodą kobietę, nadzieje rosną, tymczasem zamiast aktorki przemawia dyrektor, potwierdzając zakaz policyi.

Takie same rozporządzenie zastosowane do dawniej istniejącej „Wolnej sceny“: przedstawienie granych już tylokrotnie i w tylu teatrach „Tkaczów“ Gerharda Hauptmanna zostało w Halli zabronionem — teatrom więc na całej linii wytacza rząd wojnę.

Wolne sceny przy zastosowaniu prawa z 1851 r. upaść będą musiały, gdyż dozwolą im tylko na sztuki ocenzurowane i przedstawione odpowiedniemu urzędowi 14 dni naprzód. Znika przeto racya bytu nieoficyalnech teatrów. Jak widać z przykładu i z oficyalnemi coraz brutalniej policya obchodzić się będzie. Prokurator, motywując zakaz przedstawienia „Tkaczów“, powiada, że nie chce przesądzać jakie były zamiary autora, ale publiczność wypadki opisane w „Tkaczach“ uważać może za typowe, a więc typem postępowania przedsiębiorcy będzie wyzysk, a robotników bunt przeciw wyzyskowi, co na spokój publiczny podburzająco oddziałać może.

„E pur si muove“! Pomimo owych zakazów i prześladowań na scenie pojawiają się nowe prądy i nowi ludzie. Daje takich niewątpliwie Wollzogen w sztuce swej „Lumpengesindel“, co najlepiej przetłomaczyć by można w danym wypadku przez „Proletaryat umysłowy“. Proletaryat ten pojmuje i odczuwa najwyższe zadania i najśmielsze poloty ducha ludzkiego, sam stawia śmiałe, głębokie i świetną szatą formy przyodziane teorye, ale nie mają one powodzenia na literackim rynku i z tego powodu autorowie ich opędzać się wciąż muszą dłużnikom, a wydatki swoje doprowadzać do takiego minimum, by im jeden surdut na dwóch wystarczył.

Sztuka Wollzogena grana już w Wallner Theater, potem na wolnej scenie, przeszła obecnie do „Niemieckiego teatru“, gdzie wyborna gra artystów uwydatnia wszystkie jej zalety. Jakkolwiek drugi akt jest nieco za rozwlekły, a fabule, która jest podkładem głównej tezy, brak nieco wyrazistości, sztuka to ciekawa i dużo daje do myślenia. Podniesiono w niej zagadnienie kilkakrotnie już spotykane w sztukach autorów francuzkich i duńskich, czy mąż może przebaczyć żonie winę popełnioną przed ślubem, którą przed nim utaiła. Wollzogen różni się od innych tem, że typy kochanka, żony, męża, przyjaciela, a wreszcie teścia, który sam córkę do zatajenia przedślubnego stosunku namawiał, to wszystko ludzie wcale nie szablonowi. Choć na różnych stopniach umysłowego rozwoju są oni wszyscy niezmiernie uczciwi, bardzo przywiązani do siebie i niezmiernie prości we wzajemnym stosunku.

Jest to więc tragedya bez koturnowych akcesoryów, a nawet realizm jej trochę zanadto zaakcentowany na sposób niemiecki; występuje bowiem całe gospodarstwo na scenie z zamiataniem, szynionem na gwoździu, niepostanem łóżkiem i t. d. Publiczność przyjęła sztukę dobrze, choć po ostatnim akcie odzywały się sykania, nie aprobujące widać nowych ludzi, czy kierunku. Najlepiej może udała się autorowi postać wachmistrza, ojca młodej żony, uczciwego człowieka z ludu, który patrzy na życie bez pryzmatu teoryi i nie może pojąć, aby jego dziecko było mniej warte dla tego, że je uwiódł przed ślubem młody student.

Bez żadnych osłonek traktuje też Berlin kwestyą małżeńską w praktyce. Nie wiem, czy spotkali się czytelnicy moi z drukowaną na różowym papierze „Gazetą małżeńską“? Pismo to wielkości nieledwie Timesa daje na pierwszej stronie portrety różnych par panujących, występując niby to w imię zwalczania prostytucyi, a nawołując do związków małżeńskich, zamieszcza ogłoszenia i artykuły w trzech językach, oraz wskazuje od pierwszej strony adres swego pośredniczącego biora. Wychodzi już drugi rok, a policya, która zakazuje „Tkaczów“ i w imię moralności publicznej zamyka wolne sceny, nie przeszkadza w tem otwartem rajfurstwie! Gazeta w literackiej jakoby swej części robi wrażenie ohydne, bo i jak nazwać powiastki o nauczycielkach, z których każda po to wchodzi w dom obcy, aby w nim męża złapać, każda w tym celu poświęca swą niewinność, ale z bardzo rozmaitym skutkiem! *S. Z. D.*

KRONIKA LONDYŃSKA.

Londyn 23 kwietnia 95.

(Z nowej“ literatury: Gallia. Słówko o jej autorce. Kardynalna zaleta „nowej“ powieści. Z teatru: sztuki pp. Sydney Grundy, Henryka James i Oskara Wilde. Inna sztuka tegoż, której sam jest autorem, bohaterem i — ofiarą, a wynikiem hańba i śmierć za życia).

Jeżeli kto nie zapomniał się jeszcze dziwić, to książka i tragedya z życia, o których mam wspomnieć poniżej, obfitego dostarczą mu materyału. Książką tą jest powieść p. t. Gallia przez Menie Muriel Dowie. Niewiasta ta przed kilku laty błąkała się przez dziesięć tygodni po stokach Karpat w poszukiwaniu romantycznych wypadków i niedźwiedzi, z „żydkiem“ w kieszeni (sic!!), a gdy obejrzała sobie spódniki kilku wieśniaczek i nauczyła się robić pierogów, powróciła nad Tamizę. Wypadki romantyczne nie chciały po niej chodzić, ale natomiast chodziły po niej nieromantyczne pchły kołomyjskie (sic!!) i pokąsały ją bezlitośnie, chciwe krwi nieboractwa, bo zdaje mi się panował wówczas w Galicyi — głód. Przywiozła z sobą różne trofeje: strój rusińskiego chłopa, w którym jej było do twarzy (sic) oraz wiersz, w którym c. k. listonosz w języku urzędowym wysławiał jej wdzięki (sic.) Natchnęła nawet poetę polskiego do pięknego wiersza! Gdybym całe życie mówił wierszami, nie skleiłbym częstochowskiego dytyrambu wobec pyramidalnej arogancyi, z której bije łuną wyschłość serca, bezgraniczny egoizm i bałwochwalstwo dla swej wielkości, przed któremi dały nogę nawet drapieżne zwierzęta. Wynikiem tej bohaterskiej podróży był — humbug, książka p. t. „Dziewczyna w Karpatach“, o której swego czasu pisałem w jednym z tygodników. Dość, że czytelnik zapytuje się, czy autorka zadrwiła z siebie, z niego, czy z Karpat i Anglii. Tymczasem nie, panna M. M. Dowie pragnęła po prostu reklamy i męża. Szukała i znalazła jedno i drugie. Tu zapał do literatury ostygł, bo zajęła się serdecznie swem ukochanem — prosięciem (sic!!) Dopiero teraz spotykamy się z jej powieścią, która lubo pisana wiele lepiej, przypomina nam żywo, zanadto żywo „Dziewczynę w Karpatach“. Powieści t. z. nowej kardynalnym warunkiem jest oryginalny podkład społeczny, lub wynalazek na polu etyki oraz propagowanie „nowej“ moralności, która — pod piórem pisarki, nie obdarzonej ani wykwintnym smakiem, ani delikatnością uczuć — dziwnie przypomina — starą niemoralność. W „Gallii“ dowodzi autorka, że skromność kobieca, jak ją dotąd pojmowaliśmy, jest wierutnem głupstwem i że mężczyzna w porównaniu z kobietą jest marną kreaturą. Książkę tę zaś dedykuje autorka — risum teneatis — mężowi. O tem, aby cośkolwiek udowadniała, prócz krzyczącego braku delikatności, nie może być mowy, bo w powieści nie występują ludzie lecz manekiny, których ona pociąga za sznurek, rozkazując im mówić przeróżne rzeczy zarówno dziwne jak wstrętne. Każda teza jest dobrą dla powieściopisarza i nie ma tak zdradliwego tematu, któregoby nie mógł podjąć i przedstawić bez uszczerbku prawdy w sposób piękny, lecz na to potrzeba posiadać miarę artystyczną i dobry smak. Pamiętam z szkólnej ławy sentencyą, bo bito mi za niespamiętanie jej łapy: „si duo faciunt idem non est idem“. Ponieważ dłonie dawno mi otęchły, czuję obecnie nawet wdzięczność dla pedagoga z trzciną i wyciągam z tego wniosek (nie z łap), że autorka, dowodząca wyższości płci swej nad męzką będzie miała dopiero wtenczas widoki przekonania czytelnika, jeźli jest istotą — kobiecą, a nie wyżłem, nie wystawiającym kuropatw. Skromność kobieca jest głupstwem jeźli jest wyuczoną pod grozą łap lub klęczenia na grochu, lecz nie jest głupstwem, jeźli jest przyrodzoną, a przyrodzoną jest niewiastom o naturach istotnie kobiecych. „Das ewig Weibliche“ ma to do siebie, że wady zmniejsza, często nawet dając im wygląd zalet, a zalety czyni istotnemi zaletami. Mężczyzna, szanujący w kobiecie indywidulność, przeoczy wiele wadliwości i zgodzi się na wiele, ale jedno w niej znaleść musi — kobiecość, bo tak przykazała mu matka natura. Wrażliwy człowiek odczuwa różnicę od razu pomiędzy kobietą o naturze męzkiej, a niewieściej — istota jak Gallia nie przemówi do niego, bo nie jest dobrą kobietą ani starego, ani nowego wyrobu, ani w ogóle nie odpowiada jego pojęciom o kobiecie. Lecz byłoby obelgą posądzać „nową“ angielkę o tak niemodne właściwości jak czucie lub kobiecość.

O wyższość płci pięknej nad męzką kłócić się nie myślę. Niech sobie będzie wyższą! Tem lepiej dla mężczyzn. Jakże jednak może stać wyżej od przeciętnego mężczyzny kobieta nie mająca właściwości swej płci?... Tego zaiste nie wiem.

Jako „Nikt“ (*Nobody*) przyjętym zwyczajem podszywam się pod „kogoś“, bo od czegoż są autorytety? Przytaczam przeto wzmiankę o „Gallii“, znalezioną w literackich zapiskach pewnego poważnego pisma, która brzmi: „jeźli ta zadziwiająca powieść jest żartem lub satyrą, to z pewnością w możliwie najgorszym guście“. Nie dziwiłoby mnie atoli, gdyby książka ta cieszyła się powodzeniem, bo na to dość — zadziwiać

Na polu dramatycznem w ciągu ubiegłych trzech miesięcy ruch ożywił się bardzo i premiery spadają na nas jedna za drugą. Dla tego wzmiankę o pięknej sztuce Artura Pinero, znanego w Polsce dramaturga, odłożyć muszę do przyszłego listu. Naprzód p. Sydney Grundy dał nam poważnie przykrojoną sztukę p. t.: „W ślubnych pętach“, naturalnie przyczynek do niewyczerpanej kwestyi małżeńskiej, lecz z tematu nie zdołał wydobyć dość silnych momentów psychologicznych, albo raczej zaakcentować ich właściwie, wynosząc tem do sytuacyi dramatycznej. Zupełnie przegrał swą sprawę pan Henryk James z swym: Witem Domville, w czem mamy świeży dowód, że bardzo zdolny powieściopisarz może być niezdarnym dramaturgiem. W istocie p. James zdaje mi się być ostatnim z literatów, którzy mogliby wstąpić na deski teatralne, bo cechą naturalizmu jego jest unikanie efektowności tak, że każdy moment, który mógłby być dramatycznym, rozpływa się w całości jak kawałek w morzu. Tak jak malarz patrząc na

*) Pogląd filozoficzny Willego charakteryzuje ostatnia jego praca: Philosophie der Befreiung durch das reine Mittel. Berlin 1894 r.

świat widzieć powinien barwy, tak dramaturg odnaleść w odłamach życia dramatyczne point'y.

Oskar Wilde wzbogacił scenę dwoma na kolanie napisanemi komedyami. „Idealny małżonek“, przyciąga widzów wyłącznie błyskotliwą frazeologią. Jest nim podsekretarz stanu, który zbudował swą karyerę na sprzedaniu państwowego sekretu. O tajemnicy jego dowiaduje się kobieta, z czci i honoru obrana, i stara [się go nakłonić do powtórnej zbrodni: do zaprzedania sumienia i przekonań za cenę milczenia. Polityk, czując ruinę wiszącą nad sobą, waha się, lecz wpływ żony przeważa szalę, a stereotypowy przyjaciel scenicznym fortelem zamyka usta oszustki. Sekretarz pezemawia w parlamencie przeciwko sprawie w której interesowaną jest kusicielka jego pani Chevelly i — otrzymuje tekę ministeryalną. Czyniąc sobie gorżkie wyrzuty za swój dawny niecny postępek, pragnie winę odkupić wyrzeczeniem się wszelkich zaszczytów, lecz praktyczna żona, widząc, że z całej burzy wynikł honor, przedkłada mu niewłaściwowość takiego postępowania i, lubo zaręcza, że nie uważa go więcej za ideał, jest wszelka nadzieja, że sukces jego wnet okryje go w jej oczach dawnym blaskiem. Żona sekretarza przedstawia się w tym punkcie prawdopodobnie, lecz autor-idealista, skłonny do dziwnych z etyką kompromisów, życzy sobie, abyśmy ją podziwiali! Wogóle wypadkowość gra tu tak wielką rolę, że treść trudno brać na seryo. Nie ulega wątpliwości, że „Oskar“, który stworzył tak dobrą komedyą jak Beau Austin, mógłby zdobyć się na coś lepszego, chociaż nie jest mistrzem w technice, a kreacya charakterów nie leży w zakresie jego talentu, który uwydatnia się w całej pełni w jego wierszach, przepięknych i niezrównanych baśniach i poezyach prozą, Wywołany przed kurtynę „Oskar“ ukazał się tym razem bez zielonego gwoździka i bez papierosa, lecz zaręczył publiczności, że — „spędził wcale przyjemny wieczór!!“

Druga sztuka jego nosi tytuł: „Doniosłość poważnego zachowania się. Trywialna komedya dla poważnych ludzi.“ Trudno zachować się poważnie wobec tej farsy, będącej nieprzerwanem pasmem dzikiej gry słów, na jaką tylko zdobyć się może pióro „fabrykanta parodoksów“.

Tytułu ani treści trzeciej jego „sztuki“ wymienić nie mogę, chociaż zajmuje ona umysły całej Anglii więcej niż jakabądź inna komedya, a ciche fale opinii publicznej rozdmuchała do tak potwornych rozmiarów, że statek Oskara Wilde, z nim samym i jego pismami na pokładzie, w mgnieniu oka poszedł na dno morskie. Inscenizowana niefortunnie farsa okazała się wstrętną, bolesną i tragiczną. Pióro wypada z ręki, a umysł odbiega, aby pokusić się o zbadanie natury dramaturga, odgadnąć wyrok przeznaczenia, pojąć doniosłość wpływów zewnętrznych i zastanowić się nad ludzką odpowiedzialnością. W innych pismach znajdzie czytelnik szczegóły tej długiej sprawy, albo raczej niektóre szczegóły tego skandalu nad skandalami. Dość, że artysta spędza święta — w celi więziennej, oskarzony o największe i zbrodnicze występki przeciwko moralności. Wyrok zapadnie za tydzień. Jakbądź będzie, Oskar Wilde jest człowiekiem, którego opinia publiczna raz na zawsze wymazała z listy żyjących. W istocie, jeżeli już gwałtem chciał sobie poderżnąć gardło, o ileż naturalniejszem było sprawić sobie brzytwę, lecz w tem właśnie sęk, że to, co naturalnem nie leżało w zakresie jego działalności. Ponieważ każdy filister ma sobie za święty acz pewnie nie chrześciański obowiązek tratować nogami tak nizko upadłą gwiazdę, aby tanim kosztem zareklamować swe cnoty, dla miłej odmiany ośmielę się wstręt zasłonić głęboką litością!...

Nobody.

Z estrady i sceny.

„Na schyłku.“

Dramat w 5 aktach p. Dr. Dyonizego Karchowskiego.

Zadanie krytyka bywa niekiedy trudnem i przykrem. Doświadczyli tego w ubiegłą sobotę ci wszyscy, na których ciążył obowiązek zdania sprawy z odegranej w teatrze naszym premiery. Przedstawiano pierwszy utwór autora młodego, który urodził się i wychował na wielkopolskiej ziemi. Wobec posuchy literackiej, która u nas panuje, każdy nowy talent przyjaźnie i radośnie witać należy. Wielkopolska wogóle wydała ich nie wiele, wiele mniej niż jakakolwiek dzielnica ojczyzny naszej; na polu zaś literatury dramatycznej wogóle nie cieszymy się zbyt wielkiem bogactwem. To też jakże miło by nam było odkryć w nowym dramacie pierwiastek wyższego natchnienia, wróżyć mu przyszłość sławy i zasługi — a czytelników naszych ucieszyć wieścią, że znowu zabłysnął wśród nas talent, który literaturę dramatyczną zbogaci. Prawda, że pierwsze utwory nawet i najzdolniejszych autorów, bywają zwykle mniej lub więcej chybione, a oparte na nich sądy i przepowiednie zawodzą często. J e ż e l i jednak nasz młody dramaturg ma talent, to dotychczas nie zdradził on go jeszcze, nie ujawnił ani oryginalnością pomysłu, ani prawdą psychologiczną charakterów, ani szczęśliwą budową pojedyńczych scen.

Treść sztuki stanowi skomplikowana wiązanka faktów nie umotywowanych dostatecznie, pozczepianych sztucznie i przeładowanych melodramatycznemi efektami. Widzowie doznawali takiego wrażenia jakby nie obraz rzeczywistego życia, lecz ciągłe reminiscencye z różnych sztuk teatralnych mieli przed oczyma. Ogólny ton i nastrój nie podnosił się nigdzie ponad płaski poziom parafiańskich intryg i filisterskich morałów, co wreszcie nie byłoby wadą w utworze, któryby nazwy dramatu nie nosił i odznaczał się realizmem, prostotą i trafnem pochwyceniem powszednich życiowych stósunków. „Na schyłku“ jednak nie jest komedyą, gdyż zbyt wiele ma scen tragicznych i ponurych efektów, nie jest również dramatem, gdyż na to braknie mu głębi, siły i wyższego punktu widzenia. Rzecz dzieje się w Poznańskiem; znać nawet pewne dążenie do nadania jej ściśle lokalnego kolorytu. Świadczą o tem np. żartobliwe wycieczki pod adresem naszej młodzieży, zresztą cokolwiek rażące w dramacie, nadające się może do lekkiej komedyjki — właściwsze jednak dla farsy. Głównymi bohaterami są członkowie obywatelskiej, na wsi osiadłej rodziny, złożonej z matki, wdowy, i trojga rodzeństwa. Pani Błonowska, kobieta słabowita, po śmierci męża kieruje interesami rodziny wśród bardzo trudnych materyalnych warunków. Mimo niepowodzeń usiłuje jednak ziemię ojcystą utrzymać w ręku. Zadanie to utrudnia jej lekkomyślność marnotrawnego syna, Artura, i intrygi Marcewicza, plenipotenta, opiekuna dwojga małoletnich. Marcewicz ów, pragnąc się ożenić z Janiną Błonowską, usiłuje zerwać jej zamierzone małżeństwo z Bolesławem Tarłowiczem. Równocześnie pracuje nad przeprowadzeniem sprzedaży Błonowa komisyi kolonizacyjnej, która mu przez swego agenta pewien procent od sumy sprzedażnej obiecała. Wiedząc, że ani matka ani syn wsi rodzinnej w ręce kolonizacyi oddać nie zechcą, że matka wogóle na sprzedaż majątku się nie zgodzi — namawia tę ostatnią do wyjazdu do Berlina na kuracyą, poprzednio zaś uzyskuje od niej plenipotencyą na rzecz syna, upoważniającą tegoż do sprzedania części lasu. W ostatniej chwili jednak podsuwa jej zamiast odczytanego dokumentu, plenipotencyą do sprzedaży całego majątku. Na mocy tego aktu usiłuje w czasie jej nieobecności przeprowadzić sprzedaż łudząc Artura, że nabywcą będzie Polak. Intryga ta, na której się główny węzeł dramatyczny opiera jest przecież bardzo naiwną i niezręczną. Pierwszą lepsza rozmowa matki ze synem może ją zdradzić i wyświetlić, a choć Marcewicz robi co się da, aby stósunki między temi dwiema osobami jak najrzadszemi uczynić, nie może przecież wbrew rozsądkowi łudzić się nadzieją, że w kwestyi dla obojga równie ważnej przez całe miesiące ani słówka nie zamienią. To też wprost dziwić może nieprawdopodobny fakt, że tajemnica utrzymuje się aż do 4 aktu. W naturalnym porządku rzeczy za pierwszem widzeniem się z matką, z którą przecież wówczas pod jednym dachem przebywali, byłby Artur wspomniał o uzyskanej od niej plenipotencyi.

W domu Błonowskiej przebywa jej kuzynka Łucya, zaręczona z młodym filologiem Stromińskim. Pod wpływem miłości dla Artura zrywa ze swym narzeczonym i staje się ofiarą przelotnego kaprysu lekkomyślnego młodzieńca. Artur namawia ją do wyjazdu do Berlina, dokąd sam udaje się na studya, lecz po pewnym czasie zaniedbuje ją i przez swą obojętność do rozpaczy doprowadza. Tarłowicz, narzeczony Janiny, ujmuje się za pokrzywdzoną, przypomina Arturowi zaciągnięte względem niej obowiązki, słowem rozciąga nad nią przyjacielską opiekę. Z tego korzysta Marcewicz, aby przed Janiną Tarłowicza oskarżyć. Namawia ją na podróż do Berlina i wprowadza na maskaradę, na której znajdują się również Artur, Tarłowicz i Łucya. Po gwałtownej scenie między Łucyą a Arturem, wywołanej na razie powodem dość błahym, gdyż chodzi o przetańczenie walca, na co Artur, nie wiadomo czemu, zgodzić się nie chce — Łucya wpada w szał, a Tarłowicz ją uspakaja. W tej chwili właśnie zjawia się na scenie Janina. Podejrzenia jej zdają się być uzasadnione, czyni więc narzeczonemu wymówki i zwraca mu słowo. Cała ta scena maskaradowa, na teatralny efekt obliczona, nie umotywowana niczem, czyni wielce sztuczne wrażenie. Dlaczego nieszczęśliwa Łucya znalazła się na maskaradzie, dlaczego chce koniecznie tańczyć? dla czego Artur, który chwilę przedtem doznawał pewnej skruchy na jej wspomnienie, odmawia jej tej drobnej, nie zobowiązującej zresztą do niczego przyjemności? Czemu wreszcie Janina widząc niezrozumiałą scenę między Bolesławem a Łucyą nie zbliża się do nich, aby posłyszeć ich słowa, co byłoby od razu sytuacyę wyjaśniło, zamiast czekać za filarem póty, póki Bolesław sam nie zostanie? Tego rodzaju zagadek zawiera dramat bardzo wiele. Marcewicz, nie mając w tem żadnego interesu namawia Artura do hulanek i gry hazardownej, choć przez to uszczupla się przecież majątek Błonowskich i ewentualny posag Janiny. W czwartym akcie rozmowa matki z synem wyjaśnia kwestyą sfałszowanej plenipotencyi: ten sam akt jeszcze zawiera sprawę niedoszłego pojedynku, będącą zresztą zupełnie bez znaczenia dla samej sztuki i scenę obłąkania Łucyi skopiowaną niezbyt zręcznie z Szekspirowskiego Hamleta. Śmierć matki nakłania Artura do skruchy; w piątym akcie widzimy go na wsi dręczonego wyrzutami sumienia. Wszystko się zresztą sprzysięga, aby jątrzyć jego moralne cierpienie. Mały braciszek deklamuje mu wiersz patryotyczny o miłości ojczyzny i ludzie polskim, słońce zachodzi nad grobami rodziców, dzwon na Anioł Pański budzi wspomnienia dziecinne i skłania go do modlitwy, chłopi z węzełkami na plecach idą do miasta na robotę, przeczuwając, że jej zabraknie w domu (trochę przedwcześnie swoją drogą, bo kolonizacya dopiero za parę miesięcy ma objąć majątek) — a wszystkie te wrażenia wywołują zamiar samobójstwa. Artur idzie się zastrzelić na grobie rodziców. Tymczasem nadjeżdża wezwany przez Janinę Tarłowicz i objaśnia domowych, że sprzedaż majątku można jeszcze na mocy zeznań Artura unieważnić, dodaje przytem nawiasowo, że Łucya wraca do zdrowia. Wprawdzie równocześnie rozlega się huk strzału i rannego bohatera wprowadzają na scenę, jednakże fakt ten nie czyni zbyt wielkiego wrażenia. Całe otoczenie zamiast zająć się opatrzeniem rany i przywołaniem samobójcy do życia — wypowiada do niego różne budujące nauki moralne i oznajmia mu dwie powyżej wzmiankowane pocieszające wiadomości. Nie braknie zresztą i księdza, którym jest ex-narzeczony Łucyi, szukający w powołaniu duchownem ulgi na rany sercowe. Zakończenie, jak widzimy, słabszem jest jeszcze niż cała sztuka. Nagromadzenie nadmiaru sztucznych efektów dodaje mu charakter niesmacznego melodramatu.

Do lepszych, lecz drugorzędnych postaci należy komiczna osobistość starej panny, ciotki Artura i Janiny. Jestto typ nie nowy wprawdzie, nawet trochę zużyty w komedyi, lecz dość naturalny.

Dodać można, że artyści z trudnego swego zadania starali się jaknajlepiej wywiązać. Na szczególną wzmiankę zasługują pp. Trapszo i Sosnowski, których talent i inteligencya zdołały wlać trochę życia w główne postacie dramatu; p. Trapszowa rolę starej panny odtworzyła charakterystycznie a bez przesady, wreszcie p. Wróblewska, w scenach obłąkania ujawniła wiele talentu do ról tragicznych. Zadanie p. Skirmunta przedstawiało nieprzezwyciężone trudności. Rola moralizatora jest zawsze niewdzięczną na scenie, to też nie można mu czynić zarzutów, że jej mimo najgorliwszej pracy zajmującą uczynić nie zdołał.

Iza Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Wojna bez końca. Wiosenne porywy. Mówmy o zimie. Tajemnica. Kapitulacya. Zerwane małżeństwo. Lament Kuryera.)

Los polemisty do wesołych nie należy. Żołnierz po wojnie miewa Kapuy i biwaki długie a przynajmniej ciszę, wytchnienie i odpoczynek, szermierz — publicysta nigdy. Latem i zimą w ogniu kartaczowem, sam kłuje piórem i ostrze wroga wciąż czuje na piersiach, wiecznie czarny od prochu, z okiem i uchem wytężonem, z bitwy do bitwy, raniący i ranny, w zgiełku i dymie, w grzechocie strzałów i poświście kul, a nad głową skołataną „Czuj duch!" bezustanne. „Bodajś pękł" — mówicie, gdy was gniew uniesie. — „bodajś został polemistą" — ja mówię, gdy mam ochotę zadusić kogoś jak b o a c o n s t r i c t o r.

I jeszcze to słońce wiosenne zagląda mi w okna redakcyjne i tak się uśmiecha jak piękne dziewczę, pół dziecko — pół kobieta, bez płomieni gorących i sennej zmysłowości Heby dojrzałej. Nie pali a pieści oczami, nie żąda a całuje. I okna na rościeź otwarłem i chciałbym krzyczeć: „Evoe!" Uśmiechasz się przyjacielu: „Krzycz sobie „Evoe", ale pisz o stronnictwie narodowem." — Bodajś został polemistą! Bądź zdrowa wiosno, — pisać zaczynam o zimie.

Rozgniewał się „Dziennik Poznański" na seryo, — co w tak sędziwym wieku jest niehygienicznem — i zwyczajem staruszków skarży się gorzko na przeciwników, błąka tu i owdzie, a całą ręką jądra zarzutów naszych tknąć się nie odważy. Więc przedewszystkiem żali się znowu na fatalne wpływy magicznego wyrazu „D o b r o w o l s k i" i mówi z westchnieniem, że nazwisko to działa na organ demokratycznej inteligencyi jak czerwona płachta na pewne zwierzęta." Porównanie to stare i w ostatnich zapasach stronnictw poznańskich zużyte, a w najświeższym wypadku niezupełnie stósowne. Czerwona płachta? Nie! szanowny Panie! Ale gdyby ktoś przy końcu dziewiętnastego wieku wybrał się w pogoń za szarakami z łukiem i oszczepem, to spoglądałbym na niego takiemi oczyma, jakiemi nieraz na organ twój patrzę. I gdy w Szekspirowskim Hamlecie widzę Poloniusza przędzącego sieci swoje „za tapetą", gdy słyszę okrzyk duńskiego królewicza "Szczur!" i widzę błysk stali przebijającej kotarę, to czasem zdaje mi się, że ty jesteś małym Poloniuszem. Protestujesz i chciałbyś wmówić w społeczeństwo poznańskie, że "za tapetą" nie pracujesz nigdy, i że „tajność" nie odgrywała żadnej roli w układaniu ostatniej listy komitetowej z firmą „stronnictwa narodowego." Nie chcę rozstrzygać, dla czego tryumwirat, działający z twego ramienia, skrył się w fałdzistym płaszczu tajemnicy, ale istnienie tej tajemnicy pozostaje faktem niezbitym mimo zaprzeczeń tak kategorycznych. Zapytaj się, dobry panie, swoich komiwojażerów politycznych. Czemu zapraszające na „posiedzenie w sprawie komitetu" dodawali poufnym szeptem stręczycieli małżeństw: „Oczywiście — dyskrecya rzecz honorowa."

Lecz tajne czy nie tajne, — to p r o i c o n t r a polemiki naszej nie rozsądza wcale. Dziennik przyciśnięty do muru zdecydował się udzielić pewnych wyjaśnień w sprawie „stronnictwa narodowego". które tu cytujemy i n e x t e n s o:

„Stronnictwo narodowe nazywa „Przegląd" stale stronnictwem „fikcyjnem" i zdaje się uważać je za nowy wytwór polityczny. Aby wyjść z tego błędnego koła, w którem obracamy się od kilku tygodni, zaznaczamy, że stronnictwo narodowe jest wyrazem przekonań i dążeń licznego zastępu osób, grupujących się na około „Dziennika Poznańskiego". „Nowemu" stronnictwu nie brak więc ani programu, ani organizacyi... Spodziewamy się zresztą, że znajdzie się w niezbyt długim czasie sposobność do bliższego wyjaśnienia programu naszego stronnictwa."

Brawo! To już pierwszy krok poważnego postępu. Mgły otaczające nową „narodówkę" rozpływają się powoli, a Dziennik, który namiętnie ukochał czarującą dewizę: „piaskiem w oczy społeczeństwu!" zdecydował się nareszcie z mętnej wody na przejrzystsze fale wypłynąć. Ta rózga Przeglądowa jednak cudów dokazuje. Nawet zatwardziałych grzeszników zmusza do pokory.

„Dziennik Poznański" poszedł do Canossy i takie składa wyznanie: 1) Sprawa stronnictwa narodowego równała się „Kołu błędnemu". 2) „Stronnictwo narodowe" to koterya „Dziennika Poznańskiego". 3) Nowemu stronnictwu nie brak ani programu, ani organizacyi. 4) Bliższe wyjaśnienia programu nastąpią niebawem. — Jest to kapitulacya na całej linii, bo cztery punkta powyższe zawierają nietylko potwierdzenie zarzutów naszych i domysłów, lecz co najważniejsze akt posłuszeństwa w obec tych zasadniczych postulatów, które zaprezentowaliśmy w dwóch ostatnich numerach „Przeglądu". Było „błędne koło", będzie program i organizacya. Mówimy „będzie", bo „Dziennik Poznański" uznaje potrzebę ściślejszego sformułowania i ustalenia własnego programu, aby go mianować programem stronnictwa, a powiastka o istniejącej organizacyi partyjnej zdradza tylko dobre zamiary na jutro, — porywy fantazyi na dziś. Organizacya? Pokażcie nam zarząd oficyalny? Któż go mianował? Gdzie i kiedy odbyły się wybory? Przecież pan Dobrowolski chyba nie przypuszcza, że społeczeństwo wiewać zacznie chustkami, gdy taką nowinę zwiastuje miastu i prowincyi: „Odsuwacie mnie od steru, niewdzięczni! Nazwisko moje na żadnych nie figuruje listach! Gdy wstąpię na trybunę, głuszycie mnie wrzaskiem szyderczym! A zatem obędę się bez was i sam siebie mianuję zarządem nowego stronnictwa."

Sam siebie! — Smutna rola i smutne losów koleje! V a r r e! V a r r e! r e d d e m i h i m e a s l e g i o n e s!

Czekamy jutra, bo jutro to, jak zapewnia „Dziennik", przyniesie nam te niezbędne f o r m y stronnictwa, o które przez dwa tygodnie upominał się „Przegląd" napróżno, a przedewszystkiem przyniesie nam program. Dowiemy się zatem, jakim sztandarom służy nowe stronnictwo, czyli „Dziennik Pozn." Dotychczas w kameolonowych barwach oko szukało i ślepło. Co miesiąc inne kolory lub mgła gęsta i cisza bezduszna. Stronnictwu politycznemu taki program wystarczać nie może i dla tego witamy z uznaniem zapowiedź „Dziennika", że zakładając stronnictwo, skrystalizuje zasady swoje, cele, i dążenia.

W obec tego, że „Dziennik" w najświeższym artykule nic o kompromisie z „Kuryerem Pozn." nie wspomina, przypuszczamy również, że nowy kartel polityczny napotkał nieprzezwyciężone przeszkody, a organowi duchowieństwa nie pozostaje nic innego jak założenie własnego stronnictwa. O firmę łatwo. Jak to n. p. cudownie brzmieć będzie: „Stronnictwo sikawkowe proponuje na patrona towarzystw polskich pana Wittenburga", lub „Partya pruska zaleca ogólną iluminacyą w dzień Sedanu" albo wreszcie: „Stronnictwo rzymskie uważa zbieranie składek na fundusz Kościuszkowski za zgubną tromtadracyę i rekomenduje ofiarności społeczeństwa misye afrykańskie." — W obec takich okrzyków teraźniejszości i przyszłości lękałem się nieco, czy „stronnictwo narodowe" nie powstanie na gruncie fatalnego kompromisu między „Dziennikiem" a „Kuryerem Poznańskim", bo pierwszy, mimo całej archeologii swojej i chorągiewkowych skłonności, zachował jednak jądro zdrowego patryotyzmu, umiarkowania i dumy narodowej, które rozpłynąć się mogły w lodowniach „Kuryera". Znając Kuryerowe potęgi i wpływ ich na społeczeństwo, niepokoiło mnie jakieś głuche przeczucie, że w małżeństwie politycznem naszych „wielkich" czasopism organ duchowieństwa odegra rolę męża i pana domu, a „Dziennik Pozn." rolę żony potulnej i służebnicy. Dziś kartel rozbity, a przepaść między eksnarzeczonymi rysuje się coraz wyraźniej. „Dziennik" w najświeższych numerach przestał się modlić do „słońca berlińskiego" i z niezwykłą energją wyparł się bóstw lojalizmu, którym niedawno jeszcze wspaniale palił hekatomby. Nie ma on wprawdzie bohaterskiej odwagi oświadczyć szczerze i otwarcie: „Zbankrutowałem", ale likwiduje dyskretnie i po cichu skład prusofilskich umizgów i „do odwrotu" nęci społeczeństwo. „Kuryer" natomiast sztuczną reklamą pragnie powstrzymać bankructwo swoje i głosi na wszystkie strony, że dopiero teraz „rozpoczyna się rzeczywista polityka nowego kursu", że „bujać w obłokach niedościgłej zasadniczości" jest kardynalnym błędem politycznym, że zmartwychwstające hasło „usque ad finem", to nędzny liczman patryotycznej frazeologii. Przy tej sposobności naturalnie sypią się uszczypliwe docinki na „kameleonowe przejawy „Dziennika Poznańskiego", hołdowanie oklaskom tłumu i czczej krasomówczości, a wreszcie wróżba ponura, że skoro społeczeństwo zejdzie z drogi obranej, nastanie królestwo „burzycieli spokoju". Aż mrowie przechodzi. Przypominają się mimowoli słynne opowiadania o ruchu ludowym — „tym rozsadniku Kościeleckich rozbojów". Próżne mozoły! „Kuryer Poznański" stanął dziś osamotniony i na urozmaicenie pustki starokawalerskiej woła sobie monotonnym głosem szafnerów kolejowych: „Einsteigen! Berlin, Potzdam, Pfaueninsel. Abfart in 5 Minuten." Szczęśliwej drogi! My zostajemy w Polsce.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Wychodzący we Lwowie „P r z e g l ą d W s z e c h p o l s k i" poświęca następujące uwagi ostatnim politycznym wypadkom dzielnicy naszej:

„W zaborze pruskim życie polityczne w ostatnich czasach znacznie się ożywiło. Przyczynia się do tego działalność demokratycznej inteligencyi, grupującej się około „Przeglądu Poznańskiego", wytrawnie prowadzonego tygodnika. Żywioły trzymające dotychczas w swych rękach władzę, poczęły uważać, że wpływ stopniowo tracą, uciekły się więc do znamiennego manewru. Mianowicie na ostatniem zgromadzeniu przedwyborczem w Poznaniu, gdzie chodziło każdemu z dwu głównych stonnictw o przeforsowanie swej listy kandydatów do komitetu wyborczego, partya „Dziennika Poznańskiego" nie stawiając nowego programu, wystąpiła pod nazwą „stronnictwa narodowego". Przeciwnicy uważają to za uzurpacyą, ale zaprzeczyć nie można dobrego pomysłu, gdyż w pewnych warunkach użycie tylko popularnego wyrazu za firmę już daje pewne korzyści. Stronnicy „Przeglądu Poznańskiego" nie zdołali swej listy przeforsować, ale faktycznie panowali oni moralnie na wspomnianem zebraniu i przeprowadzili uchwały, wzywające Koło polskie do głosowania przeciw „ustawie przewrotowej" oraz do porzucenia zasady bezwzględnej tajności uchwał."

* *
*

I z a b e l l a M o s z c z e ń s k a. Kilka słów o dzisiejszem wychowaniu. Poznań 1895 r.

Drobna ta książeczka, licząca zaledwie 28 stronnic, zawiera mnóstwo cennych wskazówek dla wychowawców i pedagogów. Znana z prac swoich literackich autorka poddaje ostrej lecz sprawiedliwej krytyce ten system wychowawczy, panujący dziś jeszcze w szkołach i rodzinach, który wychowanie identyfikuje z tresurą, niwecząc indywidualizm dziecka, tamując jego ro-

zwój naturalny i przygniatając umysł nadmiarem nauki. I. Moszczeńska jest stanowczą przeciwniczką klasztornego wychowania, któremu dziś jeszcze hołdują nasze arystokratyczne domy, skazując córki swoje na działanie systemu zabijającego wszelką samodzielność i charakter w dziecku. „Jest to system negacyjny, który pragnie z wielu pojedyńczych osobników jedno wielkie „nic“ wytworzyć. Ztąd też wychowanki klasztorne, najlepiej nawet ułożone, wytresowane, opanowane, póki zostają w zakładzie — wychodząc z niego są zbiorem zupełnie prymitywnych skłonności i popędów. Nie są istotnie ani złe, ani dobre, często jedynie ze zwyczaju fałszywe i skryte, a właściwie zaczynają dopiero rozwijać się, kształcić, dojrzewać z chwilą wstąpienia w świat.“

Książeczka I. Moszczeńskiej odznacza się jak wszystkie inne prace tej autorki, stylem błyszczącym i argumentacyą logiczną. *-ski.*

* * *

Nr. 8 „Przeglądu Wszechpolskiego“, organu polskiego towarzystwa handlowo-geograficznego wyszedł i zawiera: Jedność narodowa, nap. Skr. — Brazylia a Texas, nap. R. Siemiaszko. — W sprawie wychodźtwa ludu naszego. — Z zaboru rosyjskiego. — Z całej Polski, nap. I. Zagiewski. — Korespondencye: z Litwy, z Prus Zachodnich, z Chicago, z Winnipeg, z Hamburga. — Dział ekonomiczny: Pocztowe giełdy pracy, nap. dr. Wiktor Ungar. — Dział informacyjny: W sprawie spadku po śp. Jakubie Gostkowskim. Ważne dla powracających do starego kraju. — Kronika życia polskiego. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Ogłoszenia.

* * *

Część lwowskiej młodzieży akademickiej rozpoczyna od 1 maja wydawnictwo nowego dwutygodnika p. t. „Swoboda“. W prospekcie znajdujemy ustęp następujący:

„Każdy, kto dla swobody swego narodu, dla swobody ducha i sprawiedliwości, należnej wyzyskiwanym i uciemiężonym pracuje i walczy, ten nasz naturalny sprzymierzeniec, z którym pójdziemy, mając ten sam cel na oku, ręka w rękę. Ci zaś, co z serc naszych starają się wyplenić najszlachetniejsze uczucia i każą nam przenosić prywatę nad dobro publiczne, a w miejsce najwznioślejszych idei stawiają za boga cielca złotego i karyerę; ci, co krępują swobodny polot ducha ciasnemi ramami dogmatyzmu, co każdą myśl nową i śmiałą ścigają i prześladują, radzi wrócić do czasów św. inkwizycyi; ci, co dzięki przywilejom są pasożytami społeczeństwa i żyją kosztem klas roboczych; ci, co nam skąpią oświaty i szerszych mas roboczych do niej dopuścić nie chcą, by nie przejrzały, ci są naszymi wrogami, z którymi nam walkę toczyć przyjdzie.“

„Swoboda“ będzie właściwie dalszym ciągiem wydawanego „Życia“, które upadło głównie wskutek konfiskat c. k. prokuratoryi państwa.

* * *

Syn autora Kirgiza p. J. Zieliński zaznaczył w Tygodniku Ilustrowanym, że przyczyną długoletniego milczenia jego ojca, który zabłysnął niby meteor na niebie naszej poezyi i nagle zgasnął, był żal do krytyki za surowe osądzenie jednego z utworów późniejszych. Swój artykuł kończy syn wieszcza postawieniem tezy, iż jego ojciec jest jeszcze jednym przykładem więcej, jak krytyka niesprawiedliwa łamie i zniechęca do pracy ludzi utalentowanych. Czy to prawda? Odpowiedzą nam: „Fredro ojciec, zrażony krytyką, postąpił tak samo“. Nie, nie tak samo, bo zostawił nam sporo sztuk wielkiej wartości, lubo ich już za życia wystawiać nie pozwalał Tymczasem p. Zieliński sam pośrednio przyznaje, że ojciec jego poezyę niemal zupełnie zarzucił, uprawiał natomiast studya historyczne i belletrystykę. Widocznie więc iskra poezyi, tlejąca w jego piersi, nie była tak silną, by wytrzymać silniejszy podmuch wiatrów zbyt ostrych i mroźnych. Gdyby było przeciwnie, wszelka, nawet najzjadliwsza krytyka, nie zdołałaby go powstrzymać od tworzenia. Przykładem Rodziewiczówna.

* * *

Cesar Lombroso. Miłość u obłąkanych, przekład z włoskiego. Warszawa, nakład K. Treptego, 1894, str. 96.

W statystykach psychiatrycznych znajduje się zawsze pewna liczba obłąkanych z miłości. Wogóle jednak procent ich jest bardzo mały (2 proc. — 3 proc.), a Lombroso sądzi, iż i tak statystycy zbyt wiele składają na miłość, bo zazwyczaj krewni mylnie ich informują. Na tysiące obłąkanych, z którymi L. miał do czynienia, mógłby najwyżej naliczyć tuzin wypadków podejrzanych o to iż miłość była ich przyczyną. Zupełnie jasny wypadek znał tylko jeden; objawiał się on milczeniem. Trzeba też wziąść na uwagę, że często miłość tylko przyśpiesza wybuch choroby, będącej dawno w zarodku. O miłości wogóle Lombroso mówi nie wiele, a przytacza za to szereg wypadków płciowego zwyrodnienia, histeryi, nimfomanji, masturbacyi. Przewaga erotycznych zboczeń u kobiet ma źródło w ich ustroju płciowym. Jak zwykle wreszcie składa wiele Lombroso na wpływ dziedziczności.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne W sejmie pruskim przemawiał poseł nasz p. dr. Rzepnikowski w sprawie rozdziału komsyi jeneralnej w Bydgoszczy. — W dniu 8 maja odbędzie się w Berlinie zjazd radnych miejskich i członków magistratu wszystkich miast niemieckich, aby powziąść rezolucyę przeciw ustawie przewrotowej. — W Pradze rozpoczął się wielki proces anarchistyczny. Oskarżonych jest 17. Publiczność została wykluczoną. — W Paryżu wybuchło wielkie bezrobocie pomiędzy woźnicami tramwajów i omnibusów. — Rząd pruski zamierza przedłożyć projekt do nowego prawa o stowarzyszeniach i związkach. Projekt ten ogranicza podobno swobodę dotychczasową i jest rodzonym bratem ustawy przewrotowej.

Teatr i muzyka. Na scenie poznańskiej występuje gościnnie artystka teatrów warszawskich pani Leszczyńska. Teatr, mimo znakomitej gry gościa naszego, świeci pustkami. Ocenę występów p. Leszczyńskiej zamieścimy w przyszłym numerze. — Sezon teatralny w Poznaniu kończy się 30 kwietnia. Trupa nasza udaje się do miast prowincyonalnych. Dyrekcya teatru w Krakowie wystosowała do komisyi teatralnej pismo, zawiadamiające, że w miesiącach czerwcu i lipcu urządza 40 przedstawień operowych: wystawione zostaną opery: „Halka“, „Straszny Dwór“, „Jawnuta“ (Moniuszki), „Traviata“, „Favorita“, „Mignon“, „Faust“, „Carmen“, „Pajace“, „Cavaleria rusticana“, „Marta“, „Bal maskowy“, „Lunatyczka“, „Rigoletto“, „Aida“, „Afrykanka,“ „Prorok“, „Lohengrin“. W przedstawieniach wezmą udział: Mira Heller, Konarska z Warszawy, Irena Abendroth, Strassern, Kasprowicz, Myszuga, Bandrowski, Jeromin, Górski z Medyolanu, Wołoszko itd. Dyrekcya uprasza: 1) o zwolnienie przez czas pobytu w Krakowie opery od opłaty czynszu dzierzawnego, 2) o zwolnienie przez ten czas z opłaty za oświetlenie, które w zasadzie uważa za bardzo wysokie; 3) o udzielenie choćby małej subwencyi, tem bardziej, że subwencya, wzięta ogółem, dla teatru miejskiego jest mniejsza. niż w teatrze starym, a ciężary znacznie i niestosownie większe; 4) o danie wyrazu w piśmie do Wydziału krajowego piekącej potrzebie podniesienia subwencyi dla teatru miejskiego w Krakowie. — W najbliższy czwartek odbędzie się na sali Lamberta w Poznaniu koncert Sokołów z współudziałem najwybitniejszych sił teatru naszego. Program obejmuje między innemi scenę więzienną z „Dziadów“ i ćwiczenia gimnastyczne. — Najnowsza komedya K. Zalewskiego p. t. „Łotrzyca‘ doznała w Krakowie nader sympatycznego przyjęcia. — O nowym utworze Pawła Lindaua p. t. „Die Venus von Milo“ wyraża się pochlebnie krytyka drezdeńska. — W paryzkiej Operze komicznej wystawiono operę zmarłego przedwcześnie Benjamina Godarda p. t. „Wiwandjerka“. — W Wilnie ma być zbudowany nowy teatr rosyjski między górą Zamkową a ogrodem botanicznym. — Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zamierza w przyszłym sezonie zmienić reżyseryę. — Teatr krakowski zakupił głośną szłukę włoskiego autora Rovetta p. t. Marco Praga.

Na kongresie prasowym i drukarskim, odbywającym się obecnie w Petersburgu i zostającym pod protektoratem w. księcia Konstantyna Konstantynowicza, tajny radzca Kazi, prezes rosyjskiego Tow. technicznego, miał mowę, którą uważać można do pewnego stopnia za odpowiedź na odrzucenie petycyi literatów i dziennikarzy, wniesionej do cara w sprawie zmiany ustawy prasowej. Kazi powiedział w swej mowie, że prasa jest dla Rosyi i wogóle dla nowożytnych społeczeństw rzeczą tak olbrzymiej doniosłości, że ograniczenie zakresu działania prasy i pozbawienie jej wolności jest dla społeczeństwa tem samem, czem dla jednostki pozbawić ją daru mowy. Prasa w Rosyi obejmuje wszystkie gałęzie pracy, na którą składa się sztuka, literatura i wiedza: wobec tego rozszerzenie zakresu wpływu opinii publicznej, nadanie prasie większej swobody, równa się podniesieniu pracy intelektualnej dla ogólnego poziomu oświaty społecznej.

Mowa Kazi'ego zrobiła wielkie wrażenie. — Równocześnie sekretarz zjazdu, generał Olszewskij, zapowiedział odczyt o potrzebie zmiany obowiązującej ustawy o cenzurze.

Pomiędzy członkami kongresu znajduje się także hr. Leon Tołstoj.

Kongres lekarski. Na posiedzeniu kongresu lekarskiego, obradującego w Monachium, toczono obszerną dyskusyę nad surowicą antydyfteryczną. Z dyskusyi tej podajemy krótkie streszczenie: Prof. Stintzing z Jeny oświadczył, że z dotychczasowych doświadczeń nie może jeszcze stwierdzić niezwykłego leczniczego działania surowicy; jednak stanowczo jest za tem. aby środka tego nadal używano i robiono z nim ciągłe próby. Dr. Trump z Gracu przedłożył zebraniu bardzo zajmujące szczegóły o rozszerzaniu się zarazka dyfterycznego i wykazywał, że bakcyl dyfteryczny utrzymuje się u osób chorych nadzwyczaj długo: znajdowano go u tych osób nawet w trzy miesiące po zupełnem wyleczeniu, i to nietylko w gardle, ale także na innych błonach śluzowych, n. p. w nosie, oczach i t. d. W nosie i oczach znajdowano bakcyle dyfteryczne nawet u tych dzieci, które na dyfteryą nie chorowały, lecz tylko się stykały z dziećmi choremi. Dla zapobieżenia przeto rozszerzaniu się dyfteryi należy dokładnie dezynfekcyonować mieszkania, w których leżały na dyfteryą chore dzieci, i wszelkie należące do nich przedmioty, a dzieci zdrowe, które mimowoli stykały się z choremi, należy ochraniać przed dyfteryą szczepieniem antydyfterycznej surowicy. Dr. Möhring dowodził, że surowica zmniejszyła znacznie śmiertelność chorych na dyfteryę. Mówca leczył 74 chorych, z których umarło ; dawniej, kiedy jeszcze nie leczono surowicą, na 74 chorych umierało przeciętnie 30. Prof. Vierodt z Tubingen twierdził, że, używając surowicy, uzyskał świetne rezultaty i radził, aby nią dalej leczono. Również pochlebne świadectwo surowicy wydał dr. Nott. Dyskusyę nad tą sprawą zakończył prof. Heubner z Berlina. Podniósł on, że żaden z mówców nie zrobił zarzutu. jakoby wstrzykiwanie surowicy szkodziło organizmowi chorego dziecka; natomiast wszyscy jednozgodnie stwierdzili, że od czasu używania jej śmiertelność wśród osób chorych na dyfteryę znacznie się zmniejszyła. O trzeciej ważnej sprawie, a mianowicie o tem, czy zaszczepienie surowicy chroni od dyfteryi. jak szczepienie ospy od ospy, zdaniem mówcy, jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie można. Należy w tym kierunku robić dalsze próby i czekać ich skutku. W końcu przyjął kongres następujące wnioski prof. Heubnera: Kongres, oparty na czynionych dotychczas próbach z surowicą, oświadcza, że ona nie jest szkodliwą, lecz, owszem, w leczeniu daje pomyślne rezultaty, nie wypowiada zaś żadnego zdania w sprawie ochronnego szczepienia surowicy, gdyż w tym kierunku nic osiągnięto jeszcze dokładnych i dostatecznych rezultatów. Na tem dyskusyę zakończono.

Zmarli:

Aleksander Michaux, znany w literaturze polskiej pod pseudonimem Mirona, zdolny poeta liryczny, dawny współpracownik „Kuryera Warszawskiego“, zm. w Warszawie przed kilku dniami.

Bogumił Foland, wiceprezes teatrów warszawskich, zm. w bieżącym tygodniu w Warszawie.

W. K. Zieliński, znany powieściopisarz („Anna Orzelska“, „Ostatnia z rodu“, „W kraju Arpada“ i t. d. i heraldyk, zm. przed dwoma tygodniami w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Akcyonaryuszowi z Kujaw. Odpowiemy listownie w początkach przyszłego tygodnia. Dziś przesyłamy tylko wyrazy szczerego podziękowania.

L. S. Długi artykuł pański streścić można w słowach: „Emancypacya jest nonsensem, bo nie ma uczonej kobiety, którąby umiała gotować.“ Jeżeli Pan innych zarzutów przeciw emancypacyi wytoczyć nie zdołasz, to wątpimy, czy polemiki panskie znajdą gościnność w poważniejszych pismach.

Excelsior. Autorem Marsylianki francuzkiej jest Rouget de l'Isle. Kto jest autorem tak zwanej „Arbeitermarseilleuse“ — nie wiemy. Utwór ten jednak nie należy bynajmniej do najświeższych.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

M. Tyc z Monachium 1,75 Mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 721,50 Mr.

Do preliminowanej sumy 1000 Mr. brakuje zatem jeszcze 278,50 Mr. O składki prosimy gorąco.